

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie . . . . . Rs. 7 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 3 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 1 „ 75  
Miesięcznie . . . . . „ — „ 60

Za odnośnienie do domu  
płaci się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca  
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-  
meru bez dodatku k. 20.

# GŁOS

Prenumerata na Prowincyi  
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . . . Rs. 9 kop. —  
Półrocznie . . . . . „ 4 „ 50  
Kwartalnie . . . . . „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . . . 12 guld. — 18 m.  
Półrocznie . . . . . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-  
tor Redakcyi po kop. 10 za  
wiersz petitowy lub za je-  
go miejsce. Reklamy po  
kop. 25.

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA  
WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden  
zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Nowy okaz „polityki rozumu“, przez J. L. P.—II. Węgierskie taryfy strefowe, przez E. Paszkowskiego.—III. Świat maryjonetek, przez J. L. Popławskiego.—IV. Rzecznicy szarlatanizmu, przez A. Sygietyńskiego.—V. Z niwy literackiej swojej i obcej, przez T. T. Jeża.—VI. Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.—VII. Głosy.—VIII. Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.—IX. Korespondencja ze Lwowa, przez J. H. G.—X. Przegląd społeczny.—XI. Przegląd polityczny.—XII. Kronika powszechna.—XIII. Odpowiedzi od redakcyi.—XIV. Ogłoszenia.—XV. Odcinek: Wyszadzone z siodła, przez Antoniego Sygietyńskiego. (Ciąg dalszy).

### Nowy okaz „polityki rozumu“.

W parlamencie niemieckim toczą się obecnie obrady nad nową „ustawą wojskową“ a raczej nad wnioskiem przyznania rządowi dodatkowego kredytu na uzupełnienie organizacyi i wydoskonalenie uzbrojenia armii. Żądanie przez rząd kredytu na powiększenie lub wzmocnienie armii nie jest w parlamencie niemieckim wypadkiem nadzwyczajnym. W ciągu kilku lat ostatnich budżet wojskowy cesarstwa niemieckiego zwiększył się o 145 milionów marek, a oprócz tego w 1885 r. parlament przyznał 27 milionów marek kredytu dodatkowego. Obecnie rząd domaga się znowu powiększenia budżetu stałego o 18 milionów i jednorazowego kredytu 31 milionów marek. A jest to tylko skromna zapowiedź nowych wydatków, podczas rozpraw bowiem minister wojny wspominał o projekcie zupełnej reorganizacyi siły zbrojnej w ten sposób, żeby w razie wojny cała ludność męzka mogła stanąć pod bronią. Reorganizacyja ta pociągnie za sobą nowe wydatki, których uprzejmi przedstawiciele narodu niemieckiego rządowi nie odmówią. Kiedy w r. z. przy wotowaniu kredytu wojskowego jeden z członków opozycyi zauważył, że rząd używa systemu szruby Archimedesza, minister wojny spokojnie odpowiedział, że w Niemczech szruba ta obraca się łatwiej, niż gdziekolwiek indziej. Czy tak jest w istocie—dużoby o tem dało się powiedzieć, w każdym razie jednak nie jeden jeszcze kredyt zwyczajny lub nadzwyczajny można będzie z cierpliwego Michela wytłoczyć.

Ilećkolwiek rząd pragnie w sprawie kredytu na armiję wyrzucić nacisk na parlament i opiniję, zawsze występuje w roli mówcy starszek Moltke i dowodzi, że Niemcy muszą zbroić się dla utrzymania pokoju. I tym razem wysunięto zgrzybiałego wodza, dla wygłoszenia sentencji, czy, jak sam się wyraził, „starej prawdy“, że „zwycięża zawsze tylko miecz“. Zresztą nie potrzebnie wyciągnięto z pod pierzyny staruszkę, gdyż i bez szczególnego nacisku parlament kredyt by przyznał. Te bowiem nawet stronnictwa, które

poprzednio ośmielały się czasem oponować, jak centrum i wolnomyślni, dziś, w przewidywaniu nowych kombinacyi rządowych i parlamentarnych, do których wejść mogą, głosować będą zapewne za przyznaniem kredytu.

Właściwą opozycyją stanowią tylko partykularyści, którzy w danej sprawie odłączyli się od centrum, stronnictwo ludowe i demokraci socyjalni, z dodatkiem kilku niezależnych lub dzikich.

Posłowie polscy głosować będą podobno *za wnioskiem rządu*, tak im przynajmniej radzą niektórzy wielcy politycy petersburscy i warszawscy, autoramentu „krajowego“.

Centrum ze względów taktyki partyjnej musi jawnie głosować za wnioskiem rządowym, bo jedyną bodaj możliwą kombinacją większości, wobec liczebnego stosunku stronnictw w parlamencie niemieckim—jest sojusz katolicko-zachowawczy. Pomimo tego jednak, może z uwagi na niezdecydowane ostatecznie stanowisko wolnomyślnych, rozluźniło karność i pozwoliło t. zw. lwelfom należyć do opozycyi a nakłania również posłów polskich, żeby przeciw wnioskowi głosowali.

„Ale żeby poznańscy uwieść się dali do tak grubej omyłki—w to uwierzyć niepodobna“, woła znany z błazeństw politycznych p. Olendzki, pełniący obecnie godność tambour-majora w drużynie polityków kiepskiego rozumu.

Istotnie, ten chłop poznański lub pruski, którego interesy przedstawiają w parlamencie jaśnie oświeceni, jaśnie wielmożni i wielmożni panowie: Radziwiłłowie, Żółtowsy, Kościłscy, Czarlińscy, lub wielebni księża Stablewscy i Jażdżewscy, ten chłop wie i czuje, że jeżeli go dobrze przyszrubują, to choćby wypadło zostawić ziemię Niemcom, jeszcze jakiegoś talara na cześć i chwałę wielkiej ojczyzny niemieckiej i potęgi państwa pruskiego—zdobędzie. Ten chłop, robotnik lub rzemieślnik nie darował by zapewne przedstawicielom swoim tej „omyłki“, że podali w wątpliwość jego lojalność i patryjotyzm państwowy, że nie chcieli mu dać na wypadek wojny gwarancyi skuteczniejszego mordowania swoich braci z za kordonu.

Ale, powiadają, kredyt zostanie zatwierdzony w każdym razie i głosy posłów polskich

na losy uchwały nie wpłyną, po cóż więc drażnić niepotrzebnie rząd. Cóż to jednak za partyja polityczna, która wotuje nie tak, jak nakazują jej zasady i interesy wyborców, ale według tego: czy zostanie lub nie—przegłoszowaną.

Zkąd taka szczególna uprzejmość względem wrogiemu rządowi, zkąd taka dziwna obawa, żeby nie posądzano ich o brak lojalności, u tych panów, powtarzających wciąż w kiepskiej niemczyźnie, a z ręką na sercu frazesy o „nieprzedawnionych prawach“.

Stronnictwa, które jedynie przedstawiają interesy ludu niemieckiego, ludowcy i demokraci socyjalni, nie mają przecie tej obawy i nie lękają się nagany ze strony swych wyborców. Więc rozwój potęgi militarnej Niemiec, którego pragnąć mogą klasy uprzywilejowane, ale który uznany został jawnie za sprzeczny z interesami ludu niemieckiego przez uprawnionych ludu tego przedstawicieli, jest dla chłopca i robotnika polskiego w Prusach a nawet dla fabrykanta, kupca i szlachcica pożądanym lub przynajmniej obojętnym? Więc tak mu się pożąda, temu Bartkowi-zwycięzcy — zdobyć laury Kaina i plawić się we krwi swoich braci. Bo przecie nikt nie zbroi się dla parady lub zabawki, ale zawsze w rezultacie dla wojny, a czy ta wojna będzie dla Niemiec zwycięską, czy przegraną, dla Polaków pruskich zawsze będzie bratobójczą. Można uznawać nieuniknioną tych smutnych zapasów konieczność, ale przykładając swoją rękę do urzeczywistnienia projektów tej rzezi — to hańba i nikczemność.

Jeżeli chodzi o jakieś tam marne traktaty i obietnice, o drobne sprawy i liche krzywdy posłowie poznańscy nie opuszczą żadnej sposobności i wynudzą zawsze porządnie parlament opowieścią o swej niedoli. Ale kiedy chodzi o krew ludu polskiego, o grosz jego ciężko zapracowany, wtedy ci panowie już nie na protest, ale na opozycyję nawet zdobyć się nie mogą. Wtedy przychodzi im „rozum polityczny“ do głowy, wtedy nawet stronnictwo katolickie, z którym idą zwykle ręka w rękę, a raczej idą przy jego nodze — wydaje się im podejrzanem. Nie trzeba drażnić rządu, głosy nasze i tak nie zaważą na

szali, szepcze im „takt polityczny”. Ale jeżeli trzymać się tej zasady, to należało głosować i za komisją kolonizacyjną i za wypędzeniem obcych poddanych i za germanizacją szkoły, bo we wszystkich tych sprawach rząd miał przeciwie zapewnioną większość.

Nie idzie tu o praktyczne rezultaty głosowania posłów polskich, bo istotnie z nimi czy bez nich rząd, w tym razie większość, która kredyt uchwali, mieć będzie, a może zresztą oni sami zawstydzą się w ostatniej chwili. Ale idzie o tę zasadę polityczną, którą do spółki ze stańczykami, Spasowicze, Kościelscy i inni „politycy rozumu” propagują, o tą zasadę troistej legalności i patryjotyzmu „według poddaństwa i miejsca zamieszkania”—która w rezultacie prowadzi do zbrodni, a tymczasem—do hańby.

J. L. P.

## Węgierskie taryfy strefowe.

Możność przerzucania się z miejsca na miejsce ze względu na stosunkową droższą taryf kolejowych nie odpowiada bynajmniej tegoczesnym społeczno-ekonomicznym potrzebom mas, pojętych w zakresie najszerszym. Jednocześnie towarzystwa kolejowe, zwłaszcza zagranicą, w bilansach rocznych wykazują dochody stosunkowo niewielkie, niektóre zaś linie, szczególnie t. z. strategiczne, zamykają roczne rachunki znacznym deficytem. Anormalność powyższego faktu zaznaczy się tym wyraźniej, jeżeli zwrócimy uwagę na wzrastające z każdym rokiem potrzeby szybkiej lokomocji, oraz na bajecznie olbrzymie, poświęcane na budowę i utrzymanie dróg żelaznych kapitały, jakoteż na międzynarodowy charakter przemysłu przewozowego, koordynujący w punktach stycznych ruchu wszechuropejskiej sieci kolejowej.

Widocznie jest przeto, że sprawy powyższe domagają się zasadniczej reformy, a statystyka dróg żelaznych zakreśla wytyczną, w kierunku której reformy takowe skierować się winny. Okazuje się mianowicie, że nawet na zachodzie kapitał stały przedsiębiorstw kolejowych jest

zaduży stosunkowo do spełnianych przez siebie funkcji, a ponieważ, jak wiadomo, i w czasie bezczynności maszyny od wpływów atmosferycznych ulegają znacznemu zniszczeniu, zmniejszenie zatem taryf przewozowych podniosło—byznacznie frekwencyję, pozostawiając prawie bez zmiany dotychczasową skalę wydatków. Że tak jest w samej rzeczy, poucza kilku-miesięczna praktyka węgierskich kolei państwowych, na których w lipcu zeszłego roku minister Barosz wprowadził t. zw. taryfy strefowe, znacznie obniżające dotychczasową taryfę osobową.

Koleje węgierskie dzielą się na 14 stref, obejmujących pewną ilość kilometrów przestrzeni, z których ostatnia strefa rozpoczyna się od 225-tego kilometru i bez względu na długość linii ciągnie się do krańcowego punktu danej kolei. Cena biletu oblicza się odpowiednio do liczby przebytych stref, nie zaś kilometrów i nie od stacji rozpoczęcia podróży do stacji zakończenia takowej, lecz od początku strefy w której pierwsza się znajduje do końca strefy, w której się mieści krańcowy cel podróży. Przytem węgierska taryfa strefowa oznacza maximum ceny, poza którą, bez względu na długość przebytej przestrzeni, koszt biletu przekroczyć nie może.

Według nowej taryfy koszty przejazdu w porównaniu z kosztami dawnymi uległy znacznej niższe. Tabliczka poniższa wykazuje ceny obecne klasy 3-ciej w porównaniu z dawnymi a co do cen klasy I i II to stosunek ich przedstawia się jak 6, 7 do 10-ciu.

Strefa	Odległość	Cena od osoby węgierskiej przy nowej taryfie	Cena od osoby węgierskiej przy starej taryfie
I	1—25 k. m.	25 centów	do 62 cent.
II	40 „	50 „	64—100 „
III	55 „	75 „	102—138 „
IV	70 „	100 „	140—175 „
V	85 „	125 „	177—212 „
VI	100 „	150 „	215—250 „
VII	115 „	175 „	252—287 „
VIII	130 „	200 „	290—315 „
IX	145 „	225 „	317—365 „
X	160 „	250 „	367—400 „
XI	175 „	275 „	402—440 „
XII	200 „	300 „	442—500 „
XIII	225 „	350 „	502—560 „
XIV	dalej	400 „	od 562 do wyżej

W pociągach pospiesznych według starej taryfy do cen powyższych dodawało się 16%, a według nowych 20%.

Niebacząc na tak znaczną bo prawie o 40% niższą cen jazdy dochody węgierskich kolei nie tylko się nie zmniejszyły, lecz, przeciwnie, wzrosły znakomicie, zarazem zaś społeczno-ekonomiczne znaczenie kolei podniosło się również, wyrażając się w zwiększonej liczbie korzystających z dróg państwowych osób. Od 1 sierpnia t. j. od wprowadzenia taryf strefowych do ostatniego października 1889 roku w porównaniu z tymże okresem czasu w roku 1888 zwykła dochodu ze sprzedaży biletów i ekspedycji bagaży wynosiła 531,266 guldenów, a ilość podróży wzrosła się o 180%. Niespodziewane a tak świetne rezultaty węgierskiej praktyki kolejowej wpłynęły na poruszenie tej kwestyi na zachodzie, a nawet, jak pisma donoszą i w Rosji, mają być wprowadzone na kilku kolejach tytułem próby taryfy strefowe.

Obecnie austriackie ministerjum handlu opracowało projekt wprowadzenia powyższych taryf na państwowych kolejach w Przedlitawii, projekt ten jednakże ustanawia nieco różną od węgierskiego manipulację, szczególnie zaś stoi oden niżej nie wprowadzając maximum opłaty, która na Węgrzech nie może przenosić dla klasy 3-ej 4 zł. reńskich, dla 2-ej 5 złr. 80 ct. i dla 1-ej 8 złr. Według ministerjalnego projektu opłaty za 3-cią klasą przedstawiają się jak następuje:

Odległość.	Nowa taryfa.	Stara taryfa.
1—10	10 centów	10—20
20	20 „	22—40
30	30 „	42—60
40	40 „	62—80
50	50 „	82—100
65	65 „	102—130
80	80 „	132—160
100	100 „	162—200
150	150 „	202—300
200	200 „	302—400
250	250 „	402—500
300	300 „	502—600

I tak dalej od 50 do 50 kilometrów. Stosunek klas według projektu ma się—jak 1, 2 i 3, podczas gdy według obecnej normy—jak 2, 3 i 5. Przy pociągach pospiesznych doliznać się będzie 50%. Nadto projekt nowy znosi bezpłatny przewóz bagaży, bilety sezonowe, zwrotne i okrężne (Rundreisebillet). Ograniczenia te w obawie

7)

## WYSADZONY Z SIODŁA.

Powieść.

PRZEZ

Antoniego Sygietyńskiego.

(Dalszy ciąg).

— Była, ale nie jest... Zresztą dziś i patent z gimnazyjum na wiele się nie przyda: bez grubych protekcji to nawet i z dyplomem uniwersyteckim długo można ssać palce. Mamy przecie prawników skończonych w kantorach bankierskich i medyków wykwalifikowanych, którzy zazdroszczą kawałka chleba konduktorom i maszynistom na kolejach żelaznych. Bardzo wybrednym na początek być nie można. Pierwsza rzecz zacząć się o cokolwiek, a potem wznosić się coraz wyżej, wyżej... Szkoda tylko, że kolega chce utrudnić sobie życie, może karyerę nawet, starym przesądem...

— To nie przesąd!... To moja wiara!

— Nie będę się sprzeczał... Zobaczymy jednak, czy życie samo nie przekona kochanego kolegi...

— Nigdy!... Jakem Załogowski!—krzyknął, uderzając pięścią w stół z taką siłą, że aż kieliszki i butelki z brząkami odskoczyły od marmurowego blatu.

— Ha! trudno!... Trzeba będzie więc ogłosić w kurjerach, iż rządca z kaucyją poszukuje miejsca, i czekać. Może Bóg co da.

— Jaktol... Więc nawet przy kaucyi nie miałoby się coś od razu trafić?

— Od razu nic się nie trafi, chyba miejsce, w którym się kaucyję stracić może, ale na taką transakcyję ja nie pozwolę: mam przecież doświadczenie starego adwokata.

— Dziękuję ci.

— Nie ma jeszcze za co. Ale widzi kochany kolega, dziś do byle folwarku żądają człowieka z praktyką i wykształceniem fachowem. Trzeba mieć już, jeżeli nie stopień któregoś z wyższych zakładów zagranicznych, to przynajmniej z Puław. A może kochany kolega uczęszczał do Marymontu?

— Nie, nie, tam nie byłem.

— Ha! trudno: praktyka na swoim musi wystarczyć za kwalifikację.

— I dobre imię!

— No, tak — przywodził Cieżyński, przy czym miękko pogładził sobie bokobrody i odchrząknął.

— Zapomniałem!... Zapomniałem!... Nie mam już imienia!...

— Tylko nie tak tragicznie—przerwał Cieżyński.

— Sam to dobrze widzisz, kiedyś zamilkł!

— Ależ nie o tem myślałem. Przyszło mi tylko do głowy, że trudno jest przystosować się człowiekowi do nowych warunków. Ko-

chany kolega pozostał szlachcicem przed dwudziestu lat, a społeczeństwo poszło naprzód: zdemokratyzowało się do gruntu. Hrabowie i książęta żenią się z żydówkami, szlachta bierze się do wszystkiego: ludzie z herbami są nie tylko w kantorach żydowskich, nie tylko na kolejach żelaznych, ale i pomiędzy konduktorami od tramwajów, dorożkarzami, posłańcami, — a kochany kolega nie chcesz zrobić użytku ze swego nazwiska.

— Żadnej pracy się nie ulęknę, ale do żyda w służbę nie pójdę — zawołał Załogowski, i, podniósłszy głowę dumnie do góry, machnął ręką po wąsach, jakby dla ożywienia zamierającej w nim buty.

— Nie ma col... Będziemy się starali i będziemy czekali. Ale jakoś kochany kolega delikatnie się z kieliszkiem obchodzi... Czy może wino nie smakuje?

— Wyborne, wyborne!... Ale odwykłem od wina; czuję już w głowie... Jestem przecież rekonwalescentem.

— Wolne żarty! Szlachcic polski nie potrzebuje się przyzwyczajać do wina, nie może więc i odwyknąć. Niechże kolega weźmie się raźniej do dzieła. Tak być nie może; to się nie godzi! Przecież na jednej buteleczce nie przestaniemy! Tyle mamy jeszcze do ogadania, do załatwienia... No! żeby nam się dobrze działo... Za pomyślność kochanego kolegi!

— Dziękuję! dziękuję stokrotnie!

gwałtownej niżki dochodów, jak to wykazuje kilkumiesięczne doświadczenie kolei węgierskich, są zupełnie płonne. Zniżenie cen przejazdu musi bezwarunkowo wpłynąć na zwiększenie ilości przejeżdżających i tym samym przynajmniej zrównoważyć, jeżeli nie powiększyć sumę dochodów, zwłaszcza, jeżeli zwrócimy uwagę na wyżej już przytoczoną okoliczność, że rozmiary, taborów kolejowych przewyższają zwykle o wiele potrzeby istniejącego obecnie ruchu. Według obliczeń statystycznych, w Niemczech lokomotywa każda przebiega na dobę zaledwie 60 kilometrów, wagon około 40, a liczba niezajętych miejsc w wagonach osobowych dochodzi do 75%; zwłaszcza wagony I i II klasy dają wiele strat. W Niemczech np. na 100 miejsc istniejących w klasie I, zajętych bywa przeciętnie 9,50, w II — 20,61, w III — 25,90, w IV — 30,04. Charakterystycznym jest, że cyfra pasażerów w kl. I i II z roku na rok zmniejsza się, nawet absolutnie, pomimo wprowadzonych ulg. W Rosyi liczba pasażerów klasy I w roku 1887 wynosiła 581,700, kl. II — 2.630,248, III — 31.357,512 i IV — 401,972.

Edw. Paszkowski.

## ŚWIAT MARYJONETEK.

(Bolesław Prus. *Lalka*, powieść w 3-ch tomach. Warszawa, 1890 r.).

### I.

Powieść Prusa bodaj że przez dwa lata ciągnęła się w odcinku *Kuryjera Codziennego* i dopiero przed kilkoma miesiącami zjawiała się w odbitce książkowej. Fakt ten nie dla tego jednak zaznaczam, żebym chciał mniej lub więcej niezręcznie usprawiedliwić się przed czytelnikami z opóźnienia oceny. Feljetonowy sposób pisania powieści odbił się, powiadają, na jej wartości artystycznej. Jest w tem pewna doza słuszności, ale doza bardzo niewielka. Krytyka artystyczna, która ocenia przedewszystkiem robotę, ma, nie ulegając zaprzeczeniu, prawo dopytywać się i badać, chociażby z pominięciem względów grzeczności, w jaki sposób robota ta była wykonywana. Tutaj wszakże można zupełnie wyrzec się szczegółowego dociekania, bo czy Prus pisał powieść drobnymi urywkami, czy większymi epizodami — w każdym razie wątpliwości nie ulega, że jest to utwór długo i głęboko obmyślany, oparty na rozległych a często

drobiazgowych studyjach z natury, na ogromnym zasobie bystrych i subtelnych spostrzeżeń.

Rozumie się, pod względem technicznym, Prus powieści swej na pewno systematycznie nie opracowywał i dobrze zrobił, bo nie skrepował swobodnego biegu swojej twórczości, której wybitną cechą jest genialna, ale nieraz niespodziewana intuicja. A jeżeli krytycy dostrzegli w *Lalce* pewien brak spójności artystycznej i koordynacji wewnętrznej, to przyczyny tego bynajmniej nie w urywkowej robocie szukać należy, ale przedewszystkiem w naturze samego talentu i umyśle autora, ponieważ zaś w tem, że między początkiem i końcem powieści upłynął spory kawał czasu.

W ciągu pisania *Lalki* musiał Prus spostrzeżenia swoje uzupełniać i niewątpliwie wiele faktów nowych zauważył, wiele w innym oświetleniu zobaczył, chociażby dla tego, że nastroj psychiczny tak wrażliwego umysłu ulegać musi daleko odchylającym się wahaniom i zmianom. Więc też w powieści dostrzedz można wyraźną zmianę poglądów na niektóre objawy życia, zmianę, będącą zapewne tylko rozwinięciem i lepszym sformulowaniem tych myśli, które już w głowie autora tkwiły, a wywołaną dokładniejszym zbadaniem pewnej sfery stosunków. Łatwo np. zauważyć, że podczas pisania *Lalki* zmieniły się w znacznej mierze zapatrywania Prusa na stanowisko żydów w społeczeństwie i wogóle na kwestyję żydowską. Na Prusie publicyście, który tak ściśle dopełnia Prusa powieściopisarza, przeobrażenie to dokładnie sprawdzić możemy. Odbiło się to nawet na artystycznym odtworzeniu dwóch żydów, grających pewną rolę w powieści, doktora Szumana i Szlangbauma. Autor chciał uratować prawdę artystyczną, zaznaczył bowiem, jak charakter tych ludzi stopniowo ulegają metamorfozie i przemianę tę starał się uzasadnić psychologicznie. Ale ponieważ są to postacie epizodyczne, których np. przez cały drugi tom prawie, że nie widzimy, trudno więc było odcieniować dokładnie zmianę ich charakterów, równoległe ze zmianą poglądów autora. Szuman i Szlangbaum w trzecim tomie i ci sami w pierwszym — to zupełnie inni ludzie. Autor, przedstawiając obu czytelnikowi, nie tylko nie podkreśla, ale nawet nie zaznacza tych właściwości ich umysłu i temperamentu, które przynajmniej istnieć musiały w stanie utajonym, jeżeli później rozwinęły się tak bujnie. Rozumie my bardzo dobrze możliwość tej zmiany, bo

każdy z nas potrafiłby wyliczyć i wskazać w kole swoich znajomych czy ex-znajomych cały poczet podobnych przeobrażeń, mniej lub więcej wyraźnych, lecz tu nie tyle może o rezultat, ile o sam proces przeobrażania się chodzi. A dokładna, drobiazgowo analiza tego procesu nie tylko z artystycznego, ale i ze społecznego punktu widzenia byłaby niezmiernie ważną.

Chociaż to oklepany komunał, będący zwykle wykretem dla lenistwa lub niesumienności krytyków, wyrokujących o książce z pobieżnego jej przejrzania, zaznaczę jednak, że treści *Lalki* w skróceniu, odpowiedniemi do rozmiarów piśma, opowiedzieć niepodobna. Albo raczej opowiedzieć bardzo łatwo, jeżeli ograniczyć się, jak to niektórzy krytycy zrobili, do dziejów romansu „bohatera” Wokulskiego i panny Izabelli. Ale romans ten nie stanowi bynajmniej treści utworu, nie wypełnia nawet treści dziejów życia samego Wokulskiego. A przecież po za Wokulskim, po za jego osobistością i sprawami osobistymi, jest w powieści nie tylko szerokie tło społeczne, lecz i wspaniały obraz życia zbiorowego, cały szereg postaci wybitnie charakterystycznych, chociaż nieraz tylko kilkoma rysami naszkicowanych. Postaci takich w *Lalce* naliczyć można ze trzydzięści, jeżeli nie więcej. Nie będę jednak rozpisywać się o tem szerzej, bo wkroczył bym musiał w zakres krytyki artystycznej, do której ani chęci, ani kompetencji nie mam. Zaznaczę tu tylko jeden szczegół ciekawy, że bodaj wszyscy dotychczasowi krytycy i recenzenci *Lalki*, którzy na przebieg romansu i prywatne dzieje „bohatera” głównie zwracali uwagę, jednogłownie uśmiercili Wokulskiego, chociaż autor bynajmniej nie zaznacza tego wyraźnie, owszem, kilkakrotnie daje do zrozumienia, że Wokulski życia sobie nie odebrał. Zabrało by mi zbyt wiele miejsca dowodzenie, że Wokulski nie mógł skończyć samobójstwem, pp. recenzentom zaś przypomnę tu tylko, że, znikając, rozporządził zaledwie częścią swego majątku, a nie miałby chyba żadnego interesu brać z sobą na tamten świat kilkuset tysięcy rubli. Widocznie krytycy uwierzyli tu bliższemu zapewnieniu doktora Szumana, który uważa sam siebie za wielkiego psychologa, a jest, jak się kilkakrotnie okazuje, dość lichym znawcą charakterów ludzkich. Gdybym do drobiazgu tego przywiązywał wagę, śmiało odwołałbym się do autora i pewny jestem, że nie skompromitowałby mej domyślności i nie zakrwawił serc zain-

— Ale duszkiem... po staropolsku... po szlachekul...

— Hal... Kiedy pić, to pić! Nalej, niechże i ja za twoje zdrowie wypiję!

— Jeszcze mamy czas... Teraz musimy „tę kwestyję” wyczerpać do dna, nie wtrącając pobocznych — rzekł Cieżyński z uśmiechem, wskazując na butelkę.

— Niech i tak będzie!... Lubię cię za to, żeś do kieliszka ciekawyl... Tylko ludzie złego charakteru nie upijają się nigdy. Co prawda i ja się nie upijam, bo mam łeb tęgi, ale pić mogę, o! mogę!... Tam jak byłem, to „karafńczyk oczyszczonej” tylko się mignął na stole!... Żeby tak co, tobym jeszcze pokazał, jak to było za czasów Ocieszyna!...

— Ja tam, co prawda, mocną głową pochwalić się nie mogę; ale też trochę, *e-te*, wytrzymam...

— Mnie byś rady nie dał!... Przecież na swoim weselu piłem zdrowie po zdrowiu półgarncowym puhaem, a domyślasz się, że mój teść sikaczem nas nie częstował. Ale cóż, kiedy ja tylko i mój ojciec zostaliśmy na nogach, — reszta wszystko trupy, a z ojcem we dwóch jakoś nie wypadło: poszliśmy spać przed czasem, choć puha się do nas uśmiechał. Lekko licząc, w pierwszy dzień wesela wypitem na siebie ze cztery garnce!...

— Czy czasem kochany kolega nie przesadza z oddalenia?...

— Głupiś!... Ach, przepraszam cię; zapo-

niałem się... Ale, widzisz, jestem rekonwalescentem...

— Nic nie szkodzi... Zdaje mi się jednak że kochany kolega dziś by się zawahał!...

— Gadaniel... Żebym się tylko nie bał recydywy, to bym ci zaraz sztukę pokazał!... Albo wiesz co?... Nalewaj kieliszki prędzej: ja ci postawię butelkę i każę przynieść puha!... Czuję, że krew zaczyna we mnie grać!

— Nie, nie dziś!... Kochany kolega jest jeszcze osłabiony: wino w nadmiernej ilości mogłoby zaszkodzić; i miałbym kochanego kolegę na sumieniu.

— Nie bój się o mnie, i sam trzymaj się ostro.

— Na drugi raz, na drugi raz!...

— Głupstwo!... Pijmy!...

— Nie; dziś nie pozwolę!... Wino na osłabiony organizm działa zabójczo, i nawet, zdaje mi się, że kochanemu koledze krew cokolwiek zaczyna nabiegać do głowy!... Ja się na tych rzeczach znam.

— Głupstwo!... Czuję, że mi jest dobrze!... Pij i każ przynieść puha!

— Nie; dziś nie mogę, nie mam czasu; zresztą musimy jeszcze pomówić o interesach!... Przyszłość kochanego kolegi leży mi na sercu!...

— Dziękuję ci!... Poczciwy z ciebie chłopak, chociaż mnie!... Ale co tam!... Piję za twoje zdrowie!

— *Festina lente!*!

— Tylko nie zwracaj mi głowy swoją łaciną!

— Jest to jednak język wielkich rzymian, którym zawdzięczamy!...

— Mam gdzieś rzymian i greków i żydów, i wszystkie narody na świecie!... Mów do mnie po polsku i pij popolsku! Chcę się dziś upić!... Takiego robaka, jaki mnie toczy, trzeba zalać!...

— Słuszna uwaga, ale, *e-te*, nie dziś, kiedy trzeba coś na trzeźwo obmyśleć.

— Wiesz co?... Przyszła mi w tej chwili szczęśliwa myśl!...

— Słucham!...

— Kto jest rządcą u ciebie?

— Jaki to u mnie?

— No, w Ocieszynie!...

— Przecież, jak kochanemu koledze mówiłem, właścicielem Ocieszyna został Filip Zamberski!...

— Tra, ta, ta!... Wszystko jedno zresztą, przecież to twój szwagier?

— Tak jest: ale cóż to ma do rzeczy?

— Nic prostszego: zostanę rządcą Ocieszyna, — naturalnie, jeżeli mi zaufacie!...

— Ja sam już, *e-te*, — podjął Cieżyński z wolna, smakując wargami wino — w pierw o tem myślałem. Któż bo śmiałby nie ufać obywatelowi zewszeczmiar prawemu, człowiekowi dzielnemu!...

— No! chyba mnie znasz! Dokazywało się

teresowanych losem Wokulskiego czytelników, które teraz pocieszają się nadzieją: a nuż żyje i snują na ten, zupełnie wystarczający dla wyobraźni, temat przepowiednie dalszych losów bohatera. Ale drobiazgi ów jest charakterystyczny z tego względu, że wskazuje, jak pobieżnie czytali krytycy powieść i jak trywialnie ją sądzili, uważając, że fakt samobójstwa, w każdym razie co najmniej wątpliwy, jest koniecznym epilogiem utworu.

Dowodzi to pośrednio, że panowie ci oceniają *Lalkę*, jak zwyczajny romans, który musi mieć przecie jakiś koniec, kiedy właściwie utwór Prusa może kończyć się tak lub owak, jeżeli chodzi o osobę „bohatera”, a w rzeczywistości kończy się bardzo wyraźnie wspaniałą, chociaż może pod względem artystycznym zbyt silnie podkreśloną sceną nad trupem starego Rzeckiego. Ale do tej sceny wrócimy jeszcze.

Właściwie *Lalka* nie jest powieścią w zwykłym rozumieniu tego wyrazu, a tymbardziej nie jest romansem. To, co się nazywa romansem, stanowi istotnie dosyć ważną część utworu, nie tylko dla tego, że jest ścięciem, łączącym w jedną całość zupełnie na pozór oderwane epizody. Takich zresztą ścięć jest kilka, a przynajmniej jeden jeszcze oprócz romansu, tylko już zewnętrzny—pamiętnik starego subiekta. Prawda, że przy czytaniu *Lalki* odbieramy wrażenie, jak gdyby autor w romansie Wokulskiego chciał ześrodkować całą siłę swej twórczości, całą moc swego uczucia. Ale gdyby nawet tak było, krytykę nie wiele to powinno obchodzić. Mniejsza bowiem o to, co autor chciał wyrazić w swym utworze, przedewszystkiem to nas obchodzi, co w tym utworze jest, co ja w nim widzę i co inni widzieć mogą. Tymbardziej zaś stosuje się to do dzieł Prusa, którego twórczość jest tak wyraźnie intuicyjną, w znacznej mierze bezwiedną, jak wogóle twórczość wszelka umysłów genialnych.

Smieszem jest charakteryzowanie a raczej klasyfikowanie pisarzy według stopnia ich talentu i ogólnych cech jego, chociaż krytyka wydaje nieraz takie świadectwa. „Bolesław Prus, talent pierwszorzędny, bystry obserwator, głęboki humorysta z zacięciem satyrycznym, wzrost literacki dobry, nos mierny, znaki szczególne—zbyt wielka skłonność do tłustych dowcipów i t. d. Nie o taką lub podobną klasyfikację mi chodzi, ani o wymiar postaci Prusa, kiedy zaznaczam z naciskiem genialny charakter jego twór-

czości. Nie chodzi mi też o wyróżnienie i podniesienie autora, tymbardziej, że nie uważam geniuszu za wyższy, czy najwyższy stopień talentu. Różnica jest tu zbyt subtelną i oznaczyć się nie da wcale, jeżeli przykładać będziemy miarę, podzieloną na stopnie. Ale różnica ta wyraźnie wystąpi, jeżeli zaznaczymy, że nie jest ona ilościową tylko jakościową. Twórczość genialna może nie trzymać przepisanej miary dla wielkiego talentu, może nie odpowiadać innym wymaganiom, stawianym przy superrewizji krytycznej, zawsze jednak posiadać będzie właściwe sobie cechy, jedną z których a bodaj najcharakterystyczniejszą jest intuicyjność, a nawet w pewnej mierze bezwiedność tworzenia. Umysł genialny jest rezultatem szczęśliwej kombinacji warunków dziedzicznych, spotęgowanej, znowu nieraz wypadkowym, a dla danej indywidualności psychicznej pomyslnym zbiegiem wpływów zewnętrznych: społecznych, moralnych i fizycznych, a jak utrzymują niektórzy nawet topograficznych, i t. p. Ponieważ kombinacja warunków odziedziczonych, rezultatem której jest geniusz, musi być nader złożoną i różnorodną indywidualizuje więc on w sobie wszystkie wybitne właściwości nie tylko swego rodu, w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, ale i pnia społecznego, z którego wyrósł, wszystkie znamienne, właściwości swego plemienia, swojej rasy. Talent może być rośliną cieplarnianą, wyhodowaną troskliwie na obcym jej gruncie, może być nie tylko kwiatem egzotycznym, ale nawet kwiatkiem na kozuchu, geniusz jest i zawsze musi być narodowym, co nie znaczy bynajmniej, żeby nie mógł stać się wszechludzkim, jeżeli odziedziczone właściwości i tradycje, jeżeli wpływy, jakie w siebie wehłania, mają charakter ogólniejszy, idealny. Otóż, nie wdając się w to, czy Prus jest największym, czy tylko wielkim u nas talentem, przyznać trzeba, że jest najbardziej narodowym, najbardziej polskim pisarzem—ze składu swego umysłu, z zalet i wad swej twórczości, z upodobań i skłonności, nawet ze sposobu pisania, języka i stylu. W genialnym jego umyśle odbijają się wszystkie, słabe i silne strony naszej twórczości duchowej, właściwości temperamentu narodowego. Jeżeli przyjmuje nawet promienie idei ogólnych, to w tej formie, w jakiej przełamały się one w pryzmacie naszej indywidualności. Prus jest nie tylko genialnym powieściopisarzem, ale również genialnym publicystą, a nawet genialnym krytykiem. W każ-

dym utworze jego, nie wyłączając nie naukowych majaczeń lub fantazji socjologicznych, w każdej niemal kronice tygodniowej tryska ta genialna intuicja, ta samorodna siła twórcza, której ani pojąć, ani ocenić nie mogą mistrze wycudzonych formuł i wycudzonych frazesów.

W fizjognomii umysłowej Prusa każdego spostrzegacza uderza niewytłomaczona z pozoru mieszanina szerokich pomysłów, śmiałych wlotów nie tylko po nad najbliższe otoczenie ale po nad ludzkość całą, oryginalnych spostrzeżeń i zuchwałych uogólnień—z powszedniemi a często nawet trywialnemi twierdzeniami o sprawach praktycznych, z obiegowemi zdaniem mądrości życiowej z komunałami w treści i rutyną w formie utworów.

Jest to rys wspólny z pokrewnemi mu organizacjami twórczemi, np. z Dygasińskim. Sprzeczność ta łatwo daje się objaśnić. Geniusz dla tego właśnie, że utożsamia w sobie różnorodne właściwości tradycji i rasy, że jak owa deska z drzewa słoistego daje oddźwięk na każdy ton zbiorowego chóru, musi ulegać również ujemnym wpływom czasu, miejsca i ludzi.

Ulega i ulegać musi, tymbardziej, że znamieną cechą geniuszu, ściśle związaną z nieświadomym charakterem jego twórczości duchowej, jest pewna naiwność, często nawet dobroduszość.

Naiwność ta zwykle nawet myli filistrów, którzy, schylając kornie głowy przed miernym talentem, jeżeli wyczuwają swoją rolę i wyszrubowali się nad poziom—poniewierają nieraz geniuszem, bo za pan-brat go traktują. Ale wreszcie przyjąc musi chwila, kiedy umysłowi genialnemu obrzydnie to obcowanie przyjacielskie z umysłami gawiedzi, kiedy wszystkie fibry jego subtelnej organizacji zadrgną ze wstrętu i zbuntują się, kiedy duch jego szamotać się zaczyna z obezwładniającą go powszedniością otoczenia. Na każdego z ludzi współczesnych, obdarzonego bardziej wrażliwą organizacją nerwową, przychodzi chwila szalu, zwątpienia, rozpacz. Ale kiedy w ludziach zwyczajnych są to zawsze uczucia a przelotne, które pozostawiają mniej lub więcej trwałe następstwa lub nie pozostawiają żadnych zgoła, w naturach wrażliwych żłobią głębsze ślady i podniecają twórczość duchową.

Takim właśnie protestem genialnego umysłu i subtelnego uczucia jest, jak mi się zdaje, *Lalka*. Bunt wyobrażamy sobie zwykle w formie gwałtownego protestu, nie pohamowanego wylewu u-

cudów!... Las drżał, panie święty, kiedy się wchodził!...

— Ani słowa, ani słowa!... Ale mam dwa powody, dla których zrzekłem się sam swej własnej myśli; *primo*: szwagier mój musiałby oddalić rządę, którego zgodził na sześć lat na tanyjęmę, — *secundo*: ja musiałbym wziąć całą rodzinę oddalonego rządcy na swoje utrzymanie, gdyż to mój stryjeczny brat i do tego człowiek niezaradny. A przy tem najważniejsza rzecz: kochanemu koledze, *e-te*, ja kość nijako by było zostać rządcą majątku, którego niegdyś byłeś właścicielem, że tak rzeknę: panem wszechwładnym, dziedzicznym...

— Masz rację!... Dzielnym z ciebie chłop!... Myślisz po szlachecku, choć-eś sam nie karmazyn!... Piję za twoje zdrowie, za zdrowie twojej godnej małżonki, za zdrowie twoich dzieci!...

— Tylko powoli!...—kochany kolega się zapala!...

— Ja taki zawszel!... Kiedy pić, to pić—kiedy bić, to bić!... Czuję, że mi wino dobrze robi!... Ile masz dzieci?

— Troje: syna i dwie córki!...

— Za zdrowie twojego syna, którego kocham, jak ciebie samego, choć go nie znam!... Za córek zdrowie nie piję!... Niech dyjabli wezmą wszystkie córki na świeciel!... Albo wiesz co?

— Słucham kochanego kolegi!...

— Oddaj jedną odrazu do klasztoru!...

— Klasztorzy zniesione!...

— To do!...

— Kochany kolega się zapomina!...

— Co?!... Ja się zapominam?... Oszalałeś!... Ile ona ma lat?

— Jedna dwanaście!... Ale co kochanemu koledze po tej wiadomości?...

— Na aktorkę jeszcze za młoda, tak, za młoda i pewnie, bez obrazy, za głupia!... Ale, wiesz co, oddaj ją do baletu!... Tam podobno trzeba od dzieciństwa się ćwiczyć!... Ha! ha! ha! świetna rzecz! Moja córka aktorką, twoja baletnicą!... Ha! ha! ha!... A to ci karyjera!... Będziemy na teatr darmo chodzili!... Będziemy pili z kochankami naszych córek!... Będziemy się bawili, jak królowie!... Wiesz królu, daj pyska!... Pysnieśmy się urządził!...

— Kochany kolega uprzedza wypadki!...

— Wypadki?... Wypadek może się każdej pannie zdarzyć!... Wypadek może się tylko pannie zdarzyć!... Ale powiedz mi, dlaczego ten osiół stróż wyłupił na mnie gały, kiedy się go pytał, gdzie panna Załoga... panna Załoga mieszka?...

— Kochany kolega nie wie zapewne, że jego córka!...

— Nie mam córkil!... Idź do dyjabła z córką, z moją córką, ze wszystkiemi córkami na świeciel!...

— ... że panna Zofia — ciągnął dalej spo-

kojnie Cieżyński — jak wiele artystek mniejszego kalibru!...

— Moja córka ma kaliber!... Ha! ha! ha czy i twoja będzie miała?

— ... jak wiele artystek poczynających, występuje pod przybranem nazwiskiem.

— Co?!... Nie pod swoim?... Nie pod moim?...

— Pod nazwiskiem!...

— Ha!... Bogu najwyższemu niech będą dziękil!... Żyj!... Jasiu, Janku złoty, ja żyję jeszcze!... Teraz rozumiem, dlaczego stróż nie mógł się domyśleć, o kogo się pytałem!... Więc ona nie nazywa się Załogowska!... Co za szczęście!... Jasiu, Janku, panie święty, nalewaj!... Niech wypiję za jej zdrowie!... Nie!... Tfu!... To nie ładnie!... Nalewaj!... wypiję za zdrowie twojej córkil!...

— Przepraszam kochanego kolega, ale to profanacja, *e-te*, świętych uczuć rodzicielskich!...

— Masz rację!... Daj pyska!... Dzielnym z ciebie chłop, chociaż-eś nie szlachcic!... Nalewaj!...

— Kochany kolega ...

(d. c. n.)

Antoni Sygietyński

czucia, zuchwałego wyzwania, lub wreszcie, jak u Heinego, zgryźliwego cynizmu. Otóż w *Lalce* tych zewnętrznych znamion buntowniczości nie ma wcale, co najwięcej dostrzedz można jakiś tępy, przygnębiający pesymizm, czasem szarpnięcie ironii, ale zaraz obok żart wesoły, uśmiech dobroduszy. Ale trzeba przyjąć na uwagę indywidualność autora i talentu, właściwości rutyny pisarskiej i, nie poprzestając na zbadaniu cech zewnętrznych, sięgnąć głębiej.

W starciu się genialnej indywidualności autora z warunkami otoczenia bliższego leży niewątpliwie psychologiczny motyw utworu, który wiąże się ściśle z motywem społecznym—protestem silnej, oryginalnej indywidualności przeciw warunkom życia, a raczej szamotaniem się jej w grzechem błocie rutyny, powszedniości, miernoty, zalewającym całą powierzchnię tego życia.

J. L. Popławski.

## Nasi krytycy muzyczni.

„Lepiej jest słuchać gromienia mądrego, niżli słuchać pieśni głupich” — powiada kaznodzieja salomonowy, czując doskonale, ile szkody brak krytycyzmu przynieść może pojedynczym osobnikom, a nawet całym społeczeństwom, jeżeli te uwierzą słowom rozdyętych pochwał bez żadnych zastrzeżeń.

Panowie recenzenci warszawscy *wyśpiewali* tyle i takich hymnów na cześć Reisenauera, że on sam, gdyby je chciał odczytać uważnie i zrozumieć, dostałby pomieszania zmysłów. Przedewszystkiem nie wiedziałby, czem jest a czem nie jest: nowym prorokiem fortepianu, czy zwyyczajnym sobie wirtuozem, któremu to lub owo się czasem udaje, a czasem nie udaje. Według nich bowiem raz jest olbrzymem, raz efekciarzem.

Co prawda, gdyby mi chodziło tylko o Reisenauera, to, przyznając się otwarcie, że albo nie pisałbym o nim wcale, albo, co najwyżej, zaznaczyłbym kilkoma wierszami, iż ma talent widoczny, technikę zmanierowaną występami na prowincyi i dla prowincyi, i bezczelną śmiałość w traktowaniu przez nogę publiczności, kompozytorów i fortepianu. Po za tem wszystko byłoby mi jedno, czy Reisenauer gra dobrze, czy źle, i czy Warszawa da mu dwadzieścia rubli, czy dwa tysiące, jeżeli jej się tak podoba, lub jeżeli ją kieszeń śwędzi.

Lecz panowie recenzenci tyle narobili wrzawy z powodu *głupiego trybu* (podkreślam umyślnie) i *pianissimo*, że uważałem sobie za obowiązek zabrać głos, nie tyle, aby obniżyć wartość talentu wykonywczego Reisenauera, ile aby podnieść bezkrytycyzm naszych krytyków muzycznych, ale to krytyków!

Naturalnie głos mój, który, mówiąc nawiasem, nie był głosem wołającego na puszczy, nie podobał się panom krytykom, a zwłaszcza pp. Polińskiemu i Kleczyńskiemu, i wywołał repliki, — w części osobiste, w części fachowe.

I na jedne i na drugie muszę odpowiedzieć. Przedewszystkiem zaczepki osobiste.

Gdyby pan Kleczyński, w artykule zatytułowanym: *Walka o szarlatanizm* w n-rze 346 *Echa Muzycznego* (*Echo Muzyczne* liczy numery od początku swego istnienia, jak żydzi liczą lata od początku świata) kręcił tylko nosem nad moimi wyrażeniami, nie miałbym do niego pretensyi. Użyłem terminu: siarkowódór, i każdy czytelnik, obdarzony mniej nawet czułym nosem, niż p. Kleczyński, mógłby publicznie i prywatnie nim kręcić.

Ale z jakiej racyi, a raczej na jakiej zasadzie p. Kleczyński ośmiela się pisać, że „wyliczając imiona takich wirtuozów, jak Tausig, Rubinstein, Menter, Essipow, umieścił pomiędzy nimi dwa nazwiska, które nigdy do tak wielkiej sławy pretensyi nie miały i tym sposobem skompromitował porządnych artystów, czyniąc z ich imion igraszkę dla swoich osobistych celów?”

Ponieważ wiem, że p. Kleczyńskiemu nie chodzi tu ani o Michałowskiego, ani o Paderewskiego, a zatem muszę nazwać wyraźnie tych dwóch artystów: Zarzyckiego i Szlecera, którym dla owych niby „osobistych celów” przyznałem to, co mają: indywidualność, nie wywyższając ich nad nikogo, a nawet nie porównując ich z nikim. Wolno mi chyba wymieniać „porząd-

nych artystów” pomiędzy porządnymi artystami, w przypuszczeniu, że nikt nie posądzi mnie o „cele osobiste”, których nie miałem i mieć nie mogłem.

Przedewszystkiem Zarzycki nie jest już dyrektorem Instytutu, a więc w nagrodę za tę nędzną wzmiankę nie mógłby mi dać posady, a Szlecer, jako członek rady pedagogicznej, pośrednio tylko rządzącej sprawami i personelem Instytutu, nie mógłby mi dać dymisy z posady, na której się jeszcze trzymam. Dlaczego jednak to wymienienie dwóch nazwisk „porządnych artystów” tak razi p. Kleczyńskiego? Czy nie wyłazi tu przypadkiem zpoza nich dymisya, jaką p. Kleczyński dostał za nieudolne prowadzenie klasy fortepianowej? Przecież dopóki p. Kleczyński starał się o posadę w naszym Instytucie muzycznym, z pod pióra jego sypały się pochwały na głowę przynajmniej jednego; dziś tymczasem, w rok po dostaniu dymisy, odmawia mi prawa wymieniania ich nazwisk pomiędzy indywidualnościami i pomawia o „cele osobiste”, jak gdyby ja mógł coś jeszcze dostać, albo przyjąć, kiedy mi się nic nie należy i niczego więcej nie żądam, nie pragnę nawet.

Koncept p. Kleczyńskiego, iż „ton wychodzi z pod palców Reisenauera, a nie p. Sygietyńskiego, lub innego również znakomitego fortepianisty”, puszczałam płazem, gdyż mi pilno do bardziej specjalnych nonsensów, sprzeczności i fałszów w krytyce p. Kleczyńskiego.

Ponieważ p. Kleczyński nie odpowiedział ani na *jeden*, wyraźnie ani na *jeden* z moich zarzutów, co do gry Reisenauera, a pomimo to „rażą go one płytkością”, muszę pokazać *jak ten głęboki specjalista* pisze krytyki, i o ile się różni w sądach pojedynczych ze mną, jeżeli nie jest oszołomiony namiętnością pisania reklam.

Po pierwszym wysłuchaniu „*tej wszechpotężnej a wielce indywidualnej gry*”, p. Kleczyński rznie na sieczkę Tausiga i Rubinsteina i taką nędzną strawą wypycha brzuch tego... szarlatana, który, według mnie (Nr. 19 *Głosu*) „nie miał z czem produkować się pod względem ilości, gdyż grał wciąż jedne i te same utwory”, — a pod względem jakości „wyrażał się trzema sztuczkami technicznymi, *fortissimo*, *pianissimo* i *tryl*, i jedną duchową: przeciwiństwem krzyku i szeptu”, nie mówiąc już o tem, że „ani jeden pasaż nie był wygrany z całą perelkową czystością”.

Przypuszcmy na chwilę, że ja przesadziłem w charakterystyce tej „wszechpotężnej a wielce indywidualnej gry”, której żaden z panów recenzentów nie scharakteryzował, i że istotnie, nie tylko p. Kleczyński, ale nikt „od czasów Tausiga nie słyszał tak olbrzymiego mechanizmu, a od czasów Liszta takiego temperamentu”. Aby dać dowód, iż mi nie zależy nic na tem, kto mówi prawdę, byle mówił prawdę, będę teraz cytował pana Kleczyńskiego, tego gruntownego specjalistę, dla przeciwstawienia jego głębokich słów moim „płytkim zarzutom”. Nawiasem mówiąc, będę cytował zdania p. Kleczyńskiego *in extenso* — za szczyt, który go z pewnością pierwszy raz w życiu spotyka — jakkolwiek miałbym prawo postąpić inaczej, ponieważ p. Kleczyński, zarówno jak i p. Poliński, cytując mnie, przekręcają umyślnie moje słowa, aby dać im inne nieco znaczenie.

„Zarzut autora artykułu (Sygietyńskiego) co do ubóstwa repertuaru Reisenauera — mówi p. Kleczyński (w *Echu* w N. 346 od stworzenia tego pisma) — jest wprost *śmiesznym* wobec wykonania publicznie sonaty i koncertu Beethovena, kantata Schumanna oraz tyłu utworów Chopin’a, Bach’a, Händl’a, Mozart’a”.

Nie, panie Kleczyński, zarzut mój co do ubóstwa repertuaru Reisenauera nie jest śmiesznym, jeśli pan weźmie pod uwagę, iż żaden z wielkich wirtuozów nawet na żądanie na razie nie powtarza tego samego utworu, i w seryi koncertów, granych w danym mieście, produkuje, jak Rubinstein, około stu sztuk. Śmiać się pan może co najwyżej o tyle tylko, o ile się zarzut nie zgadza z następującym pańskim zdaniem, które przepisuję żywcem z numeru 124 *Kuryjera Codziennego*:

„Wczorajszy koncert (trzeci z kolei) znakomitego artysty w Teatrze Wielkim nie dał nam (panu Kleczyńskiemu w liczbie mnogiej) sposobności do nowych uwag nad grą jego. *Zawierał* bowiem w swoim programie *nie jeden utwór już grany poprzednio*”.

Nie pozwalam sobie żadnych komentarzy, aby mi przypadkiem jakiś *nie* „elegancki dowcip” nie wymknął się z pod pióra. Ponieważ jednak ośmieliłem się o Lipie („Lindenbaum”) Schuberta wyrazić, iż „melodyi nie słyhać było wcale”, za co zostałem zgromiony w *Echu* (w numerze 346 od początku istnienia tego pisma), muszę więc dla usprawiedliwienia zacytować słowa tegoż samego p. Kleczyńskiego, dla którego w N. 124 *Kuryjera Codziennego* „urocze *Lindenbaum* (Lipa) Schuberta-Liszta z powodu przesadnie wolnego *tempa* wiele straciło ze swojego uroku”.

Tu muszę, dla objaśnienia moich czytelników, nie pana Kleczyńskiego, bo taki to wszystko wie, dodać, że Reisenauer, nie mając dość wyrobionej niezależności rąk i palców, musi grać podobne rzeczy zawolno; inaczej przy podniesionym pedale nie wygra dość cicho szybkich gam chromatycznych, a melodyję, o którą mnie właśnie chodziło, będzie musiał traktować forte, i wtenczas nawet gawiedź za figla nie da grosza. Pan Kleczyński za pierwszym razem dał cały swój majątek, jak Paganini Berliozowi; upokorzył się publicznie przed genjuszem(?), którego się następnie wyrzeka.

Idźmy jednak dalej. Wymknęło mi się z pod pióra, że Reisenauer nie ma dostatecznie wyrobionej techniki, i w „Erlkönig Schuberta-Liszta dla ułatwienia sobie wypuszcza pewne nuty, przy końcu zaś, ani jednego akordu, które tłucze bezdźwięcznie, nie bierze czysto”. Ponieważ nie chcę, aby tak „płytki zarzut” przeszedł do potomności ze szkodą Reisenauera, który w „mechanizmie dorównywa Tausigowi a w temperamencie Lisztowi” — (pierwsze sprawozdanie p. Kleczyńskiego w Kur. Codz.), uważam sobie za święty obowiązek „encyklopedycznego specjalisty” zacytować słowa fachowego znawcy z trzeciego sprawozdania w Kur. Codziennym:

„Co się tyczy Erlköniga”, był on wprawdzie *lepiej* wykonany, niż z drugim koncercie, ale widocznie należy do sztuk *nie leżących* w temperamencie artysty, albo też jeszcze niedość *przetrawionych* i przestudyjowanych. Artysta boi się tu dać folgę (po polsku, panie Kleczyński, należałoby powiedzieć folgi) swojemu temperamentowi, wstrzymuje się, zastanawia, *zamyśla* nawet (oj! to, to!) potem nagle *rzuci się* naprzód z jakąś *sztuczną odwagą*, nie trafia zawsze *czysto* w skokach ręki, nareszcie gra w taki sposób, że przy końcu *brakuje* mu siły, której ma przecież tyle jak (po polsku, panie Kleczyński, należałoby powiedzieć: tyle *ile*, albo *co*) lew”. Tu muszę na swoje usprawiedliwienie dodać, że i mnie lew przychodził na myśl, jako porównanie, mimo miękki łapy, lecz akurat kolega mój z konserwatorium, Makowski, podszeptał mi, że takie *fortissimo* każdy stróż wydobędzie z fortepianu może; ponieważ ma więcej siły fizycznej i twardszą rękę, niż Reisenauer. Wierzę najzupełniej, że żaden stróż nie może grać *fortissimo* dźwięcznie, ale *fortissimo* bezdźwięcznie może grać każdy stróż. To chciałem wyrazić, i proszę pp. Kleczyńskiego i Polińskiego, ponieważ ich to porównanie zabolowało, aby zechcieli mi je wybaczyć. Na przyszłość, jak będę chciał wyrazić, że ktoś tłucze fortepian ręką „na sztorc”, twardo, napiszę, że każdy lew, który ma miękką łapę, może wydobąć takie szorstkie, bezdźwięczne forte z większą łatwością, niż wszechpotężny Reisenauer, od którego czuć siarkę.

Gdzie jednak najbardziej w swej charakterystyce różni się z p. Kleczyńskim, to co do oceny *Krakowiaka* Paderewskiego, który (dla mnie) „pod względem rytmu i tempa przypominał *kozaka*”.

Według pana Kleczyńskiego tymczasem — „do *nieprzetrawionych* rzeczy należał *krakowiak* Paderewskiego, grany za prędko i zamało urozmaicony w szczegółach”.

Nie znam stanu żołądka Reisenauera i nie wiem, jak on prędko trawi. W każdym jednak razie mam pewne prawo posądzać go, co najmniej, o niezbyt artystyczny kiszec, skoro mógł na jednym posiedzeniu zaprodukować przed panem Kleczyńskim aż dwie naraz sztuki *nieprzetrawione*. Ponieważ nie jestem tak czuły, jak p. Kleczyński, pod względem nosa, nie będę więc kręcił nim nad tem wyrażeniem, które z konieczności przywodzi na pamięć siarkowódór. Że jednak chcę być ściślym w cytowaniu naszego głębokiego krytyka, więc choćbym miał się jesz-

cze raz ośmieszyc wobec moich czytelników, dodając końcówkę słowa sprawozdania z tegoż numeru 124 *Kuryjera Codziennego*:

„Artysta, owacyjnie przyjmowany (za te wszystkie nieprzetrawione rzeczy) dorzucił nad program jeden (jeszcze jeden?) z granych już drobniaków”.

A teraz, aby pokazać, jak dalece ja, „encyklopedyczny specjalista”, jestem pokonany przez ściślego specjalistę, pozwolę sobie dorzucić jeszcze parę wyjątków:

Pan Kleczyński w tymże N. 124 *Kuryjera Codziennego*, który jest dla mnie nieprzebraną kopalnią, twierdzi, iż „przyczyną nieporozumień istniejących u nas, co do Reisenauera, nawet w ściślejszym kółku specjalistów, jest przedewszystkiem oryginalność (no proszę!) jego talentu, a następnie nadużywanie pewnych efektów”. Mam zaszczyt oświadczyć p. Kleczyńskiemu, że, jak dotąd, to ściślejsze kółko specjalistów na twarz padało przed każdym oryginalnym talentem, i jeżeli nie padło przed Reisenauerem, to między innymi dla tego, iż on „nadużywa efektów” kuglarskich, na których pan i panu podobni znawcy się z początku nie poznali. Ale czy podobna robić sprawozdawcy muzycznemu zarzut, że się nie poznał na wirtuozie, jeżeli on nie zna kompozycji? Wszakżeż p. Kleczyński powiada, że Reisenauer cudnie wyspiewał *adagio* z koncertu Beethovena, kiedy tam do śpiewania jest wszystkiego ośm taktów, a reszta stanowi akompaniament na tle postępu diatonicznego lub akordów łamanych do motywu śpiewanego przez orkiestrę w osiemdziesięciu taktach.

Nie chcę jednak być stronnym, i ponieważ p. Kleczyński porobił Reisenauerowi pewne uwagi, tak rażąco odskakujące od moich „płytkich i śmiesznych zarzutów”, pozwolę sobie dodać, że w N. 115 tegoż *Kuryjera Codziennego*, *Sonata* Beethovena, mimo znakomitego w wielu miejscach wykonania, zdradzała grę niezupełnie swobodną, — „Erlkönig, na którym pokładaliśmy (p. Kleczyński w liczbie mnogiej) wielkie nadzieje, tak w ogólnym nastroju, zbyt niespokojnym jak i w szczegółach: nieczyste trafianie, zamazywanie, nie stał na wysokości olbrzymiego talentu jego wykonawcy” — a *Liebestraum* Liszta, lub pięknie wykonany, był dość nudny”.

Po tych słowach poddaję się: nie mogę się już bronić, nie mam czasu. Co prawda mógłbym wylać w polemice pana Kleczyńskiego ze mną dużo nonsensów i tymi się przed nim zasłonić. Wszakżeż p. Kleczyński, odpierając mój „płytki zarzut”, iż Reisenauer wojuje kuglarskimi sztuczkami, dowodzi z ironią w *Echu* (w N. 346 od początku istnienia tego pisma), że „jak z literatury dramatycznej wygnąć nie możemy komedii, operety, farsy, tak i z koncertów nie możemy wypędzić Lisztowskich Rapsodji i im podobnych utworów”. Ja, co prawda, nie ośmieliłem się nazwać utworów Liszta komedjami, operetkami, farsami; dlaczego jednak te komedje, operetki, farsy przysły panu Kleczyńskiemu na myśl z powodu Reisenauera, którego ja tylko w konsekwencji mógłbym nazwać aktorem z operety i farsy, — wytłomaczyć sobie logicznie nie mogę. Dwie tylko rzeczy z tej polemiki mnie pocieszają. *Pierwsza*, że p. Kleczyński ów głupi tryl, o którym, z powodu charakteru literackiego Głosu, specjalnie pisać nie mogę, nazywa nareszcie „efektem, który każdy, cokolwiek z wyższą techniką obeznany fortepianista z łatwością na dobrym instrumencie otrzymać może a druga, że ten „olbrzym niezrównany”, w którego brzuchu p. Kleczyński w N. 113 *Kuryjera Codziennego* pomieścił tyłu wirtuozów, już w numerze 134 tegoż samego pisma staje się tylko „wyjątkowo uzdolnionym fortepianistą”. Zda się, że i ja coś podobnego powiedziałem, chociaż dziś żałuję, że mi, zamiast szumnego wyrazu: *talent*, nie przyszedł na myśl skromny termin: „uzdolniony fortepianista”. Możeby w tym razie p. Kleczyński był więcej miał litości nad moimi „śmiesznymi zarzutami”, które w *Echu* (w N. 346 od początku istnienia tego pisma), „nie wytrzymują krytyki”. Gdybym zaś, zamiast wyrażenia, iż Reisenauer „poluje na *fortissimo* z naganką, a na *pianissimo* w łódce”, był napisał, jak p. Kleczyński w N. 115 *Kuryjera Codziennego*, iż Reisenauer przy *fortissimo* „wpada w jeden z tych szalów siły i ognia, które, również jak *pianissimo* zdają się być jego specjalnością”, to już napewno ten ściśle i logicznie myślący krytyk byłby mi przebaczył wszystko, nawet ujmę na honorze mu-

zycznym Jana Maurycego Kamińskiego, który nie jest wcale na mnie obrażonym, — nawet zacytowanie charakterystyki Prusa, który bynajmniej tak płytko Reisenauera nie sądzi, jak się panu Kleczyńskiemu zdaje. I to jest krytyk, wprawdzie muzyczny, ale krytyk!

Co innego p. Poliński. Ten znowu, ponieważ sam nie znał, nie zna i pewnie nigdy znać nie będzie fortepianu, odmawia mi i pewnej grupie „opozycjonistów” prawa sądenia fortepianisty z tego tytułu, iż jesteśmy „nauczycielami fortepianu”. Przysługując może to prawo urzędnikom administracyjnym, inżynierom komunikacji lądowej i wodnej, wdowom po oficerach i fabrykantom pierników, trzyma się o tyle ostrożnie banalnych zachwytów i uwag, że go łączyć na niekonsekwencyjnych nie można. Podejmuję się jednak, w danym razie, zrobić z jego sprawozdania z koncertu zupełny nekrolog, wpisując tylko zamiast wyrazu: koncert — wyraz: pogrzeb, lub *vice versa*.

Co się jednak u nas z krytyką muzyczną wyprawia, najlepszym dowodem jest sprawozdanie z koncertu tegoż Reisenauera w N-rze 20 Tygodnika Ilustrowanego.

„Reisenauer ma swoją indywidualność — jest kolorystą. Przekształcony (?) pod jego palcami instrument, odzywa się słiznym *cantabile*, płynącym jedną falą dźwięku, to światła, to barwy, która mieni się, rozjaśnia, mroczy, odbija w sobie to blaski, to zmierzchy, przybiera lekką przezroczystość mgły, albo miękkie tło chmurki, na którym w subtelnych konturach snuje się motyw. Jest to rysunek promieniem na obłoku. Potem obłok przysłania, mgła zasnuwa tę jasność, wszystko zlewa się, kłębi i wzajemnie nawskroś przenika, a ucho wsłuchane w tę kombinację bez nazwy odgłosów, przestaje już rozróżniać melodię od harmonii i nie pragnie zgłębić tego rozróżnienia”.

W imię Ojca i Syna i Ducha S-go! Nic nie rozumiem: gdzie tu jest fortepian i dlaczego ma być przekształcony, gdzie indywidualność Reisenauera, gdzie charakterystyka wielkiego fortepianisty? Ale tak pisze p. Władysław Bogusławski, który ze studni ogólników, nie nie wyrażających, jest zawsze w stanie wylać tysiące wiańder podobnie błyskotliwego, świetnego, mieniącego się płynu. Lecz przynajmniej czuć tu stylizację porządnego, literata rasowego, który z frazesami umie sobie dawać radę, i nie daje się łąpać, jak p. Kleczyński, na nonsensach ogólnego myślenia z jednej strony, a na zupełnej nieznajomości specjalnego przedmiotu z drugiej, przy aroganckiej pretensji do jednego i drugiego.

Przytem małeńka uwaga: ponieważ wierzę, iż p. Kleczyński, przeczytawszy, jak łatwo złożyłem przed nim broń i poddałem się, przebaczy mi raz na zawsze grzechy, pochodzące z „płytkości” mojego umysłu, uważam sobie przeto za obowiązek wytłomaczyć, usprawiedliwić poniekąd niekonsekwencyje p. Kleczyńskiego. Wszakże sędziowie muszą stosować środki łagodzące, ile razy jest chociaż cień jakichś mimowolnych pobudek winy.

Pan Kleczyński zaraz na wstępie swoich „piesni” na cześć Reisenauera przyznał się, iż z koncertu „powrócił do domu z głową roztrzaskaną na połę”. Naturalnie, konsekwencyje tego uszkodzenia czaszki, jako siedliska mózgu, objawiły się w pierwszej chwili gorączką wielką, której następstwem było entuzjastyczne „śpiewanie” pełnym głosem, bez żadnych zastrzeżeń; przy dalszym jednak rozwoju choroby mózkowej, która zaczęła się objawiać majaczeniem, a raczej bezprzytomnym bredzeniem, zaczęły występować nieświadomie pewne zastrzeżenia, i to wywołało cały szereg niekonsekwencyj. Z tego tytułu, nietylko, że usprawiedliwiam w części i nonsensy p. Kleczyńskiego i te marne wycieczki w dziedzinę „osobistości”, o których na początku nadmieniałem, ale nadto usłucham jego rady i przeczynam sobie jeszcze raz nudne dziełko Schmitta (w tłumaczeniu p. Kleczyńskiego) *O Pedale*. Po „walce o szarlatanizm” miło mi będzie odпочać. Nie chcąc jednak być dłużnym, zalecam również p. Kleczyńskiemu, który pewnie jest już w tej chwili rekonwalescentem po owem „roztrzaskaniu głowy na połę” aby przeczytał sobie *Robinsona Kruzoa*. Jest to wprawdzie historyjka dla dziecińczych umysłów, — ale taka ładna!

Co zaś do dalszych następstw tej „walki o szarlatanizm”, to przyjmuję wszystkie. „Lepiej jest słuchać gromienia mądrego, niżli słuchać pieśni głupich”. Tylko panowie, którzy nie jesteście, nie byliście, czy też przestaliście być ośławionymi „nauczycielami fortepianu”, a macie mnie i to „ciaane kółko opozycjonistów” gromić, postarajcie się, aby to wasze gromienie było choć trochę mądre. Inaczej przysłowie kaznodziei salomonowego nie miałoby sensu.

Antoni Sygietyński.

## Z niwy literackiej swojej i obcej.

Myszę, że wszyscyśmy, ilu nas na kuli ziemskiej jest, interesujących się literaturą polską, z jaknajwyższą niecierpliwością wyglądali ukazania się drugiego tomu „*Szkieł*” Adama Szymańskiego. Ów drugi tom był rodzajem zagadki, przedstawiającej się pod postacią zapytania następującego: czy autor na tom pierwszy — wyczerpał w całości zasób talentu swego? Zapytanie to mocno nas zainteresowało. Nie była to ciekawość prosta, ale interes — interes, powtarzam — ów interes, co ołowieka przeciwieństwami kołatanego rozwesela, gdy mu się ukaże nowe dochodu źródło. Czy źródło popłynie? — czy będzie z niego pożytek? — czy w dalszym biegu tyle nabierze siły, że można będzie na niem stawiać młyny, tartaki?... Zapytania te zajmowały nas bardzo żywo. Jedni odpowiadali na nie tak, drudzy inaczej, a wszyscy oczekiwali i — doczekali się.

Doczekaliśmy się drugiego tomu „*Szkieł*”.

Zawiódł on oczekiwania, czy nie zawiódł?

Co do mnie, na zapytanie to odpowiadam: nie.

Talent, wykazany w tomie pierwszym, jasnieje w nim w potęgę całej, ześrodkowany na jednym utworze: na „*Hanusiu*” — na psychicznej zbolącej duszy niewieściej analizie, przeprowadzonej z wysokim poczuciem artystycznym. Przedmiot to nie nowy. Dziewczyzna uwiedziona stała się w wypadkowy, wstydem spowodowany, sposób dzieciobójczynią i, jako taka, sądzona i skazana, przechodzi na Syberji przez piekło za życia: z miłością dla tego dzieciątka, którego jedno tylko słyszała zakwilenie, i z pragnieniem ekspiacji. Dostaje się jednak w sferę rozpusty najwyuzdańszej, bez możliwości bronienia się przeciwko niej siłami własnymi. Z gnojowiska tego wyciągnął ją pan Jacenty Siekierka, człek prosty, stateczny, uczciwy i wielki na punkcie „ciężarów na sumieniu” skrupulat. Oddziałuje ona na niego czarem piękną, czarem, którego potęgą uplastyczył niejako autor w opowiadaniu pana Jacentego o cud-dziewicy. Pan Jacenty, przeżywszy z Hanusią kawałek czasu i przekonawszy się, że jest roboczą, zgłodniałą i uczciwą, ofiarowuje jej złaczenie się z nią związkiem małżeńskim. Hanusia ofiarę jego odrzuca, wyznaje, że jest „*niepomniaszoza*”, to znaczy, że się nazywa inaczej, ale ani do imienia i nazwiska, dla tego, że je zbezcześciła, ani też do powodu, dla którego się na Syberję dostała, przynależnie się nie chce. W sumieniu eksgajowego zapadło zapytanie: „*ko ona?*” Wszelkie jego usiłowania wydobycia z niej tajemnicy nie zdały się na nic. Trapiło go to. Przeżył z nią lat dwanaście; razy kilka ją wydalal i na powrót brał; w końcu wydalil Hanusia stanęła na służbę u autora, mieszkającego z żoną i służyła państwu S. tak długo, aż „odebrali wiadomość, że w kwietniu nieodmienię, a więc w zwykłym czasie przelotu bocianów, jakkolwiek ptak ów zacny w ziemi nadleńskiej nigdy nie przebywa, jeden z nich wyjątkowo zką należy wysłanym zostanie ze specjalną misją przyniesienia im Jaska małego”. Wiadomość ta Hanusię do tego zaalarmowała stopnia, że za służbę podziękowała. Nie czuła się w siłach dziecka ani piastować, ani nawet patrzeć na nie. Zeby się jednak przed państwem usprawiedliwić, wypowiedała się przed autorem i ten jej spowiedź podał do wiadomości publicznej. Zajmuje ona dwie trzecie opowiadania, prowadzonego w ten sposób prosty i naturalny, który utworom Szymańskiego nadaje dźwięk oryginalny i wysooko poetyczny.

W tomie tym Szymański jest sobą, takim samym, jak w pierwszym. W podkładzie filozoficznym przebiega się mistycyzm, z którym do twarzy szkicom, czerpanym z życia ludzi, dot-

kniętych niedołą a nie mających oparcia moralnego innego, jak wiara. I Hanusie wiara w jej ekspiacyjnej prowadzi wędrowce. Przyprowadziła o śmierć dziecko i ojca, wtrąciła w rozpacz matkę, widzi ich w światłości niebieskiej i idzie ku nim po przebaczenie, nie wydając ich nazwiska na pożałowanie i zachowując czystość duszy. Jest to fenomen psychiczny. Uwzględnienie onego w kodeksach karnych sprostowałoby drogi sprawiedliwości, pozwalając zbrodnie dzielić na rodzaje i kategorie. Ież to jest zbrodniarzy, zasługujących nie na karanie, ale na pocieszeniu...

W drugim w tomie tym szkicu, p. t. „Dwie modlitwy”, przedstawił autor mistyczny wpływ modlitwy śpiewanej. Wpływ ten maluje w dwóch momentach. Kiedy był dzieckiem, usłyszał po raz pierwszy w życiu, w jednej z największych świątyń, śpiew chóralny mężki, który wywarł na niego wrażenie przynębiające. Czuł, że modlitwa ta błagalna nie znajduje wysłuchania. W lat wiele później, przy zaimprovizowanej wieczerzy pańskiej wziął udział w improwizowanych chórach modlitewnych, które kołły zbolale piersi. Dwie te modlitwy służą za motywy dla obrazka zimowego, nakreślonego udatnie.

Wyżej powiedziałem, że w „szkicach” Szymański jest sobą. Powtarzam to, powtarzam z naciskiem, przy tym bowiem zalewie autorstwa, jaki w naszej i zagranicznej literaturze zapanował w czasach ostatnich, jakże rzadkimi są autorowie, co na miano to zasługują! Takich, co piszą dobrze, doskonale, świetnie nawet znajdzie się niemało. Tacy utoli, których fizjognomia wyodrębnia się w tłumie, na palcach policzyć się dadzą w bogatszych, aniżeli nasze, piśmiennictwach. Originalność przeto stanowi wielką i we względnie literackim ważną utworów Szymańskiego zaletę, za którą—niech mu będzie cześć i chwała. Mam jednak do niego dwie pretensje: *primo*, za to, że w drugim tomie nie znalazłem drugiej części „Przewoźnika”; *secundo*, za to, że błędy drukarskie, mianowicie zaś przecinkowanie, zmuszają czytelnika w kilku miejscach do odgadywania myśli autora. Obl te błędy...

Ale—dosyć już chyba o „Szkicach.” Potrzeba zaoszczędzić miejsca na inny utwór, na powieść nakładem i drukiem Wł. L. Anczyca i sp. drukowaną w Krakowie, pod tyt.: *Rajgrodzki*. Autor zapisał się, jako Alfons Lat...i, ale to chyba pseudonym być musi. Treść jest w wysokim stopniu tragiczna: upadek rodu wielkiego, połączony z kurenieniem ziemi i ze wszystkimi upokorzeniami, jakie znosić musi ostatni rodu tego przedstawiciel, starzec „pan”, na „państwo” swoje zapatrujący się przez pryzmat dziejowy, jako na obowiązek wielki i święty. Ojciec jego, którego z portretu jeno znał, głowę, pełniąc ów obowiązek, złożył, i brat, i syn. Pozostała mu córka, wydana za hrabiego Latalskiego, świetnego niegdyś kawalera, zidyjociałego niedołą, pozostało czworo wnucząt, dzieci córki pozostał mu park i zamek, w którym niegdyś „brzmiało weselo”, a obecnie rozpościerała się ruina. Służba go opuściła; dawni kredencjerze, ekonomowie i faktorzy rozkupili, raczej rozszarpali majątek. Losy staremu „panu” żadnego nie oszczędziły bólu. Wnuk starszy wyszedł na skończonego urwisa—na pijaka, fałszerza weksłów i złodzieja. Wnuczka starsza uciekła z ekskredencjerza synem. Wierzyciele dobijają się do parku dla drzew i do zamku—dla materyjału, na fabrykę przydatnego. Rodzina opuszczona, głodem często przymiera, od głodu ratuje ją hrabina, zarabiając igłą na kawałek chleba suchego. Mogłby ją uratować hrabia Janusz Latalski, brat rodzony zidyjociałego córki Rajgrodzkiego małżonka, ale ten za granicą bawi, przyjechał w celu sprzedania majątku dla uwolnienia się raz na zawsze od pełnienia obowiązku, uważa bowiem, że nie warto zostawać z garstką nędzarzy i mierzyć sił na zamiary: więc majątek sprzedaje i z kapitałami osiadł w Krakowie przy akademii, której jest członkiem. „Tam jeszcze można pracować z swoimi.” Jedyną starca pociechą i nadzieją był wnuk młody, chłopiec mały jeszcze i do nauki ochoczy, ale zmuszony w obcym mu uczyć się języku i napawać się pojęciami, przystosowywanymi do potrzeb i widoków swych. Nad nauką dziecka iście bismarkowska ciąży dłoń. Starzec usiłuje zaradzić temu, czytając z wnukiem w języku rodzinnym. Lecz wychować sobie spad-

kobiercy nie może, bo oto nadchodzi kres życia. Czyż swój zamek i swoje pamiątki oddać ma na łup Niemcom i Żydom? Starzec, czując zbliżającą się śmierć, wyprawił hrabinę z młodszą hrabianką do doktora i został z młodszym wnukiem, któremu schody i boazerje kazał natężyć i zapalić, jak skoro sam oczy zamknie na wieki. Chłopiec, rozkaz ten spełniając:

„Wrócił, zatrzymał się nad łóżem dziada  
I podniósł głownię i w tem oświeceniu,  
Gdzie roztopiło się światło w półcieniu,  
Pogodą dziwną świeciła twarz błada  
I jakaś święta powaga leżała  
Na bladym czole. Zda się stać cała  
Była dla dziecka wecieleniem tej woli,  
Którą musiało spełnić, chociaż boli  
Serce... Po chwili”, etc.

Pozwolę sobie przytoczyć jeszcze ustęp, malujący pożar zamku.

„I zapaliła się nagle straszliwa  
Łuna na niebie. Wiatr silny się zrywa,  
Miota iskrami, i żagwie płonące  
Unosi w górę, i pozłaca chmury  
Ciężkie, nad starym pałacem wiszące,  
I sypie pyłków popiołu deszcz z góry;  
Zapalił dachy, aż w morze płomieni  
Zmienił gmach cały. I w wodzie daleko  
Odbił się pożar ów; jak gdyby rzeką,  
Co się jak lawy wrzającej strumień pieni,  
Płomiennie fale w ciemną otchłań cieką.”

Wspaniały obraz—nie prawdaż? I wiersz dobry. Owóż wierszem takim napisaną jest cała, której osnowę prozą opowiedziałem, powieść. Gdyby nie to, że jest ona utworem poetycznym, nie rozpisywałem się o niej tak szczegółowo. W szacie mowy wiązanej utwór ów przedstawia się, jako osobliwość—osobliwość tym ciekawsza i tym bardziej na uwagę zasługująca, że świadczy o niepospolitym twórcy talencie. Wiersze płyną, niby woda na łotkach, gładko, swobodnie, tak swobodnie, że zdaje się, iż ów p. Alfons Lat...i w rozmowie potocznej nie inaczej, jak wierszami, mówi. Opowiedział niemi historię długą i skomplikowaną, stworzył wierszy siedem tysięcy kilkaset, bez dopuszczenia się błędów lub gwałtów przeciwko językowi i rzadko, bardzo rzadko pozwalając sobie na rymy ubogie a przepłatając opowiadanie ustępami, pod którymi by się podpisać mógł poeta najlepszy. Świadczą o tem te dwa ustępy, com przytoczył. Mogłbym przytoczyć nie dwa, ale dwadzieścia, może i więcej ustępów, rzeczywiście pięknych, zapewniających autorowi zaszczytne w literaturze naszej stanowisko. Mimo to, nie spodziewam się, ażeby go krakowska krytyka przyjęła zycielwie, znajdują się w nim bowiem stronnice całłe przesłizne, nie przypadające jednak do miary przekonani arystarchów krakowskich, za którymi idą warszawscy, poznańscy, pacanowscy i inni. Hal cóż robić.

Może za to łaskawi będą oni na autora „Handzi”, który napisał „Zosię.” Po „Zosi” nastąpi zapewne Basia, albo Kasia, a może i Basia i Kasia i Józia i Frania—cała galerja trapiionych przez Kupidyna dzieweczek, zdźwięcznym opiewanych rymem. O talencie autora „Zosi” pisałem, kiedy się „Handzia” na świecie pojawiła. Talent ten sam; wyznać wszelako należy, że autorowi lepiej dopisał dawniej, aniżeli obecnie. „Handzia” bezwarunkowo wyższą jest od „Zosi.” Nie przesadza to jednak na przyszłość bynajmniej. Żaden poeta nie tworzył samych arcydzieł. Wierzbicki jest poetą tej miary, że się po nim arcydzieła spodziewać wolno.

Na zakończenie dodam wiadomość o ukazaniu się pracy naukowej, wydanej we Lwowie p. t.: „Historja ruchu społecznego w XIX stuleciu, p. B. Limanowskiego.” W redakcyi *Głosu* są od prac tego rodzaju specjaliści—ci utwór ten zanalizują niezawodnie.

T. T. Jez.

## BEZ OBLUDY.

Nasze zabawy.—Czy jesteśmy naprawdę weseli.—Mimo-wolna odpowiedź.—Dziwny maniak.—Czego jest obrazem.

Pisma brukowe przepełnione są opisami naszych zabaw; górującą nutą naszego życia zdaje się być wesołość, a pesymizm fejtelistów na próżno wynajduje coraz to inne: *mane, tekel, fa-*

res, przepowiadając narodowi utonięcie w otchłani zabaw kwiatowych, stawiając mu przed oczy perspektywę jeżdżenia w piekle na ognistych bicyklach, albo wygrywania na smrodliwej lutni. Nic to nie pomaga: jedna lista uroczych gospodyń i energicznych gospodarzy schodzi ze szpalt *Kuryjera* po to tylko, aby ustąpić miejsca drugiej—jeszcze bardziej uroczych, jeszcze bardziej gospodyń. Zaledwie ochłoniemy z podziwu po jakiej niespodziance np. po przesłiznych wachlarzach z żywych kwiatów, gdy inny stragan wesołości wystawia nową, np. karneiki „rymowane” z grudkami soli Bertoleta do bengalskich ogni. Czy nam naprawdę tak wesoło, czy my tylko oszukujemy siebie i ludzi, usiłując jedynie zapelnąć pustkę życia, albo wytańczyć, wyspiewać, wywiosłowić, wybicykować, słowem wysportować to wszystko, co wyeksportowano od nas na cztery strony świata? Na pytania te miałem już dać odpowiedź jak najbardziej ponurą, wobec której jeżdżenie na rowerach nabijanych gwoździ byłoby tylko wesołą innowacją w państwie cyklistów. Zacząłem więc przeglądać dzienniki, chcąc znaleźć jak najwięcej dowodów na poparcie pesymistycznych wniosków; zacząłem przeglądać i nagle natrafiam w *Kuryjerze* na apostrofę jak gdyby umyślnie dla mnie napisaną. „Czy my, jako ludzie, czujemy się *umęczonymi*, o tem sami chyba tylko sądzić i wiedzieć możemy, że jednak tak nie jest, starczy za dowód, iż od lat wielu potrafiliśmy zabawić i rozweselać grą naszą publiczność starego i nowego świata i że prasa wszystkich krajów oceniła nas i nazwała nas gromadką ludzi szczęśliwych, wesołych i zadowolonych, darząc nadto nieustannie prawie mianem trzpiotów. Trzpiot i męczennik są to same przez się tak sprzeczne pojęcia, iż wszelkie dalsze dowody zbyteczne, gdyby jednak szanowny pan raczył nas kiedy zaszczyścić w czasie kolacyi, to nacocznie przekonałby się, jak my po skończonej pracy potrafimy zjeść, wypić, ubawić się i uśmieć... i zmienićby zapewne swój pogląd”. Podpisano: *Lilipuci*. Ogarnęło mię rozrzewnienie: istotnie, czego my od nich chcemy? bawią się sobie lilipuci, jeżdżą, wiosłują, rozszerzają piersi, zwięzone ślęczaniem w bankierskich kantorach, w biurach fabrycznych, prostują plecy, zgarbione nad igłą lub dratwą, zdobywają łydki, sprawiają sobie po parze jakich takich rumieńców... Czego my od nich chcemy? Cały ten tłum, tak się przecie przez cały dzień albo tydzień napracuje dla dobra krajowego albo zagranicznego przemysłu, tak się nalyka wszelkiego kurzu i opiółków cywilizacyi, tyle namęczy się nad wytwarzaniem narodowego bogactwa dla ojców, stryjów i ciotek narodu, że niepodobna zapędząć go jeszcze do jakichś „studyjów” poważnych, a bodaj nawet do odczytania najbardziej zajmującego fejtetonu. Tylko uroczę towarzyski wiosłarzy, cyklistów, subjektów, tancerzy i innych *veloci-pedów* mniej może pracują przed rozpoczęciem zabawy; ale zato dla nich zabawa sama jest pracą—pracą ciężką, nieraz, gdyż one, będąc główną przynętą bawiących się męczczyzn, muszą wyglądać powabnie, a więc poddawać się wszelkim karbom, brykłom i więzom, jakich wymaga cywilizacyja, muszą być nosobieniem cnoty w rękawiczkach i niewieściego piękna na korkach. Mozoły te wynagradzają sobie później, kiedy, zapracowawszy na zabawie możność spełniania „najświętszych obowiązków”—t. j. możność poważnej pracy, uważają ją za rozrywkę; pracą macierzyństwa bawią się wtedy tak gorliwie, jak sumiennie pracowali w zabawie.

Właściwie mówiąc, my bawić się jeszcze nie umiemy; rozrywki nasze nie są ani tak liczne, ani tak swobodne, ani tak pokrzepiające, jak gdzieindziej. Zarzut wiekiustego majówkowania spadać na nas może z dwóch powodów: najprzód dla tego, że inne strony życia społecznego nie znajdują dość wyrazistego odzwierciedlenia w naszej prasie, następnie zaś z tej przyczyny, że filantropija, nie umiejąca radzić sobie w sferze właściwej, rozłazi się u nas po wszystkich zakątkach i zaułkach życia, niosąc często jałmużnę tam, gdzie należałoby wyznaczyć stałe wynagrodzenie zasług, albo trudów. Co do zabaw jednak, to moglibyśmy dać sobie swobodę jeszcze większą, byle tylko nie były one, jak dotąd; wystawą malowanych i autentycznych powabów, spekulacyją matrymonialną, (zmuszoną jeszcze karmić spekulacyją lichwiarzy), popisem dla

marnotrawców, szkołą kaleczenia duszy i ciała, byłeśmy tylko potrafiliby uczynić z niej ożywcze źródło sił nowych do nowej pracy bodajby dla (moralnego) zubożenia tych, którzy nas pozabawili dawnych. Dotychczas nie tylko zabawy nasze, ale nawet praca tak na polu nauki jak i przemysłu wyczerpywały nas zbyt wielką wystawnością, obrachowanej na jakąś „patrzacą” na nas Europę, na jakąś dumę narodową, pod której płaszczem jednak zawsze prawie kryły się łachmany.

W tej dziedzinie, zarówno jak i w innych, pozostały nam dawne pańskie nałogi; tutaj, tak samo, jak w innych sferach życia, społeczność nasza potrzebuje jeszcze demokratyzacji jak najgłębszej i jak najszerzej. Dzisiaj podobni jesteśmy do tego młodzieńca, o którym przed paru dniami donosiły pisma, że „rozporządzając nader szczupłymi środkami, młodzieniec żyje nadzwyczaj oszczędnie, chociaż sposób użytkowania odłożonych pieniędzy”—bywa zwykle taki: „Oto od czasu do czasu wynajmuje on karetkę i odwiedza najwyższą postawioną w hierarchii towarzyskiej osobistość, mieniając się synem bogatej rodziny obywatelskiej, zamieszkałej w zapadłej okolicy kraju... Osoby wizytowane biorą opowieści eleganckiego młodzieńca za dobrą monetę i odwzajemniając się odwiedzinami, zamiast apartamentu, znajdują ubogie mieszkanie na strychu, a w niem gospodarza, który się rumieni i przeprosza”. Ktokolwiek przypomni sobie nasze kosztowne a mało pożyteczne wydawnictwa naukowe, wobec straszego zapuszczenia sfery nauczania bardziej elementarnego, nasze małpowanie Paryża w skrzytych opisach najnowszej spódnicy aktorki X, albo hrabiny Y, nasze zabawy i rauty, o których mówi „towarzystwo”, a za które później substancjuje *Towarzystwo* — temu nie może nie przyjść na myśl „ubogi młodzieniec, wynajmujący od czasu do czasu karetkę”. Wynajmujemy karetkę, aby wraz z naszą ciemnotą i biedą składać wizyty starej, bogatej europejskiej kulturze.

Maryjan Bohusz.

## GŁOSY.

— **Z prasy.** Zamierzając na przyszłość baczniej śledzić ruch publicystyczny prasy naszej, przegląd swój rozpoczynamy od *Prawdy*. Jest to istne „naczynie dziwnego nabożeństwa” liberalno-burżuazyjno-społeczno-demokratyczne. Jak dwa tak sprzeczne żywioły, pozostające w Europie w ciągłej walce, żyć mogą u nas w czułej zgodzie—rozumieć trudno. Znany ze swej drażliwości, p. K. R. Żywicki niedawno oświadczył, jakkolwiek nikt go o to nie oskarżał, że stosunek jego z *Prawdą* nie może być nazwany służbą u burżuazji. Bardzo być może, że p. K. R. Żywickiemu zdaje się, iż przeciwnie—potrafił on liberalną burżuazję oddać w służbę społecznemu demokratyzmowi. Mniejsza jednak o to, czy burżuazyjno-demokratyczny sojusz opiera się na wzajemnym oszukiwaniu się, czy też na wzajemnym popieraniu, dość że istnieje ku zobowiązaniu i zadowoleniu. Przyjazne stosunki umożliwiają bezwątpienia ta okoliczność, że obydwa odłamy *Prawdy* trzymają się zdala od gruntu miejscowego. Liberalno-burżuazyjny zajmuje się każdym słówkiem Bismarka, każdą nową powieścią niemiecką, wreszcie wysyłaniem „nieśmiertelnych dusz” do Afryki. Odłamy demokratyczny zajmuje się gorliwie wytwarzaniem programu politycznego dla Anglii. W ostatnich 3 numerach nie spotykamy żadnego artykułu, poświęconego sprawom społecznym, zatrzymać się więc musimy na teoretycznym artykule p. K. R. Żywickiego: „Świadomość w życiu społecznym.” Właściwie nie zawiera on prawie nic nowego. P. K. R. Żywicki, radykalny Jowialski, powtarza po raz setny nie tylko te same myśli, ale też same frazesy. Ba, całe ustępy nawet wzięte są żywcem z poprzednich artykułów. Rzecz swą rozpoczyna autor od przedstawienia teorii „materiaлистycznego pojmowania dziejów.” Ku wielkiemu zdziwieniu swemu, nie jeden czytelnik *Prawdy* przekona się, że bezwiednie od dzieciństwa mówi prozą t. j. chciałem powiedzieć, że od dzieciństwa jest bezwiednym wyznawcą materiaлистycznego pojmowania dziejów. Istotnie, czyż ktokolwiek wątpił, że na-

przód powstać musiała Łódź, a potem dopiero zjawić się mogła myśl o łódzkiej gubernii, czyż ktokolwiek sądził, że idea (?) nadania prawa wyborczego Manchesterowi i Liverpoolowi narodzić się nie mogła wówczas, gdy miasta te przedstawiały „wprost pustkowia... nawet bez ludności.” Zdyskredytowawszy za pomocą podobnej wulgaryzacji ulubioną swoją teorię, której przeciwnicy nawet zarzucali dotąd jednostronność tylko, nie zaś banalność, przechodzi autor do określenia roli świadomości w życiu. Żałować wypada, że p. K. R. Żywicki mówi dość jasno i zrozumiale dopóty tylko, dopóki zajmuje się Angliją, Stanami Zjednoczonymi i t. d., gdy natomiast przechodzi do warunków naszego kraju, natychmiast urywa zapewnieniem, że „niepodobna mu rozwijać poglądów w tej mierze.” W każdym razie sporo tu zupełnie niespodziewanych skoków. Niektóre z nich pozwalałyby nawet przypuszczać, że szanowny autor potrafi się może z czasem uwolnić od sieci doktryneryzmu, w której się tak fatalnie płacze. Jako postępowanie zanotować byśmy chcieli następujące wyznaczenie:

Idea pewna (?) wysnutą zostaje w szczególnej atmosferze materialno-przedmiotowej i wśród niej urzeczywistnioną powoli. Atoli, jeśli została gdzieś wypowiedziana i wcielona, tem samem staje się nową sprężyną w rozwoju dziejowym i oddziaływa odpowiednio już jako potęga materialna w krajach, gdzie stosunki nie doszły niby do wymaganego stopnia dojrzałości. Pod tym względem ciekawego dowodu dostarczyłyby chociażby idea wyzwolenia włościanstwa z więzów poddańczo-feudalnych, oraz nowoczesnego prawodawstwa fabrycznego — naturalnie używamy tych przykładów z możliwym zastrzeżeniem. Zależność zaś stosunków jednego kraju od idei, gdzieindziej wyłonionej i urzeczywistnionej, jest tem większa, im nowoczesny organizm wymienny zostaje silniej zalkowany i powiązany.”

Z ustępu powyższego wynikać się zdaje, że, zdaniem autora, idee zrodzone na gruncie wielkiej produkcji, oddziaływać mogą na warstwy, stojące po za tą produkcją. Wobec tego, co tak niedawno utrzymywał jeszcze p. K. R. Żywicki, byłby to wielki postęp. Nie wiemy jednak, o ile wniosek ten wyraża przekonanie autora, w tym samym bowiem artykule znajdujemy ustępy o tendencji wprost przeciwniej.

— Sprawozdawca *Słowa* z wyborów do Towarzystwa kredytowego ziemskiego pisze:

„Szerszą miał w Lublinie doniosłość prawie jednomyślny wybór jednego z radców dyrekcji szeregowej, ze względu na to, iż jego nazwisko wmięszaniem było do świeżo rozgłoszonej przez niektóre dzienniki sprawy. W tym kierunku oba kola, czy też frakcyjne, poszły zwrócić, chcąc nadać temu wyborowi cechę jednomyślnego, przeciwko krzywdzącym napaściom i posądzeniom protestu.”

Mowa tu op. Wiercieńskim, oskarżonym przez *Głos* i kilka innych pism o nadużycie przysprzedaży majątku Nowosiółek. Otóż p. sprawozdawca lekko kłamie, nazywając wybór p. Wiercieńskiego prawie jednomyślnym, bo otrzymał on 101 głosów, kiedy inni radcowie p. Świeżawski—135, p. Graf—123. Co się zaś tyczy protestów przeciw krzywdzącym napaściom i posądzeniom, to przedewszystkiem nie wszyscy nawet wyborcy o publicznie oskarżeniu o nadużycia p. Wiercieńskiego wiedzieli i *Głos* lub *Rolę* czytali, powtóre, dopóki winy sądownie nie dowiedziano, nie mogli nawet wyrażać votum nieufności.

**Prześladowana niewinność.** *Wilenskiej Wiestnik* w numerze 96 podaje ciekawy fakt, niezłe charakteryzujący ciemne operacje wileńskiego handlu—„Niejednokrotnie” opisuje on „z donieckiej kolei do drobnych stacyj poleskich dr. z. przychodziły ładunki soli, wysyłane za zaliczeniem kolejowym, pokrywającym wartość towaru i przewóz, płatnem zaś przez odbiorcę. Odbiorcy ci jednak nie zjawiali się, po upływie zatem prawnego terminu niewykupiona sól sprzedawana była na publicznej licytacji, że zaś sprzedaż taka dokonywała się na mniej więcej głuchych stacyjach Polesia, więc, skutkiem małej liczby konkurentów, otrzymywane z licytacji sumy nie pokrywały nawet kosztów transportu. Taka systematyczna nieakuratność, praktykowana przez niewiadomych odbiorców, nie mogła nie wydać się dziwną, przy bliższem jednak zbadaniu okazało się, że nie są oni tak nieopatrzni,

jakby się na pozór zdawało. Nie oplacając zaliczeń, w dowcipny sposób kupowali oni na licytacji swój własny towar po cenie, wynoszącej zaledwie czwartą część kosztów przewozu. Dokonawszy podobnej operacji z kilku wagonami, zechcieli oni powtórzyć ją w większych rozmiarach i wysłali również za zaliczeniem na stacyją Poczep od razu 20 wagonów, czyli 12,000 pudów soli. Po upływie prawnego terminu zarząd kolei przystąpił do sprzedaży, lecz nauczony poprzedniem doświadczeniem, wyznaczył licytację w takim centralnym handlowym punkcie, jak Wilno. Nie wstrzymało to jednak przedsiębiorczości żydów: na pierwszej licytacji urządzili oni znowę i kupili sól po 50 rs. za wagon, ale zarząd nie zatwierdził tej licytacji i naznaczył nową, na której sól sprzedaną była po 140 do 150 rs. I tą razą żydzi chcieli urządzić znowę, zebrali nawet przed rozpoczęciem licytacji 500 rs. jako odstępne dla nienależących do ich szajki kupców, skutkiem jednak wielkiej ilości konkurentów nie udał się ten geszt. Wobec tego, że podobna operacja wileńskich handlarzy zapewne nie jest ostatnią, zarząd powinien przedsięwziąć jakieś ogólne zapobiegawcze środki”.

Nie jest to fakt izolowany, to cały system handlu żydowskiego w ogóle, praktykowanego zaś przez żydów w południowo-zach. gub. w szczególności. Każdy człowiek dobrze obeznany z tajemnicami naszego handlu i przemysłu, mógłby przytoczyć faktów analogicznych tysiące, każdy zaś głębiej i poważniej wnikający w przyczynowy rozwój społeczeństwa, musi zadać sobie pytanie, do jakich to rezultatów podobny system doprowadzi? Nie chodzi już nam bowiem o to, że owo wyzopisane a nieprzewidziane w kodeksie karnym oszustwo przyniesie kolei i producentom soli kilka lub kilkanaście tysięcy rs. strat, ale o ten cały szereg moralnych i materialnych szkód, jakie systematycznie ponosi nasze społeczeństwo na operacjach żydowskich.

Przyjrzyjmy się przykładowi:

Spółka żydowska, kupując sól wyżej podanym sposobem, może ją w danej okolicy, z dobrym zarobkiem, choć o 50% sprzedawać taniej, niż polski sklepikarz, zbywający nawet po cenie kosztu normalnie otrzymany towar. Ztąd z jednej strony wynika znane utyskiwanie polskiego żywiolu na niemożność konkurencji z żydami, bo to „u katolika wszystko drożej, u żyda zawsze taniej”, utyskiwanie, doprowadzające w wielu okolicach aż do całkowitego zaniku wiary we własne siły, z drugiej zaś strony materialna ruina całych setek a nawet tysięcy naszych rodzin, byt których opiera się na pracy w drobnym handlu.

W południowo-zach. gub. np. cała masa rodzin miejscowego pochodzenia z konieczności rzuciła się do sklepiczarsstwa po wsiach i miasteczkach. Co im pozostaje czynić. Albo wzorować się na nauczycielach i przystawać się zupełnie do uprawianego przez nich systemu, albo też zginąć.—Aut—aut—innego wyjścia niema: zwyrodnienie albo patent na niedołęstwo, bo wszak niedołęstwo, okazaną w walce z wyspecjalizowanym szwindlem niedołęstwem nazwie „Izraelita” i wszyscy jego liberalni przyjaciele, walczący pod sztandarem „pereat societas, fiat... prenumerata”.

A. Z.

— **Wyjaśnienie.** Z powodu nadesłanego nam artykułku, p. t. *Szwindelki dziennikarskie*, zamieszczonego w 20 numerze *Głosu*, redakcja *Kuryjera warszawskiego*, uważając się za niesłusznie dotkniętą, domaga się sprostowania faktu. Chodzi mianowicie o to, że adresy wszystkich firm, skazanych na karę, były, istotnie, wymienione, nazwiska zaś opuszczono, aby nie rozszerzać wzmianki. Przypuszczenia autora zamieszczonego w *Głosie* artykułku, że redakcja, wypuszczając nazwiska oskarżonych, działała dla zysku, żeby nie stracić ogłoszeń—osobiście nie podzielaliśmy, sądząc że było tu raczej nadużycie reportera, nie mieliśmy jednak racji przypuszczenia tego nie przytoczyć, bo publiczność tak sobie taktykę przemilczania nazwisk tłomaczy. Będąc z zasady przeciwnikami stosowania tej taktyki, chociażby nawet dla oszczędzenia miejsca, daliśmy głos autorowi, który przeciw niej wystąpił. Twierdzenie zaś redakcji *Kuryjera warszawskiego*, że wogóle wszystkie nazwiska opuszczono, jest, co najmniej, nie ścisłem bo kilka nazwisk drobnych procederzystów



wymieniono. Łatwo to sprawdzić przejrawszy numer z d. 8 b. m., *Kuryjera*. Jak zaś szkodliwym jest pomijanie nazwisk w takich wypadkach, można się przekonać z faktu, o którym pisał w *Kuryjerze* p. Plewako. W szeregu zakładów, skazanych za nieporządek, wymieniono sklep masarski przy ulicy Brackiej pod nr-em 25. Otóż w domu tym, o czem wie połowa Warszawy, znajduje się sklep spółki mięsnej oraz, o czem prawie nikt nie wie, drugi podobny sklep prywatny. Większość tych, którzy czytali w *Kuryjerze* odnośny artykuł, przekonana była, że wiadomość dotyczy spółki mięsnej. Pominiecie nazwiska winowajcy, dla oszczędzenia miejsca w piśmie—mogło zaszkodzić grubo i z pewnością zaszkodziło przedsięwzięciu, prowadzonemu porządnie i sumiennie. Wobec tego, jak również dla uniknięcia podejrzeń nieuzasadnionych, lepiej byłoby, gdyby pisma codzienne przy podawaniu opisów nadużyć, dla oszczędzenia miejsca—nie szczędziły winowajców.

## Z OBCEGO ŚWIATA.

C.

Rzeka błota.—Proces Secretana.

„Ile błota, ile błotal Rzeka błotnista płynie z gwałtownością Rodanu w czasie powodzi, wszystkie groble zerwane, wszystkie tany zniszone, błoto zalewa wsie i miasta”. Temi słowami charakteryzuje położenie Francji jeden z najwybitniejszych publicystów paryzkich. Niestety, w słowach tych niema przesady i wypadki dni ostatnich przedstawiają najlepsze tego dowody. Zwróćmy np. uwagę na rozgrywający się obecnie w sądzie paryzkim ostatni akt krachu miedzianego. Bohaterem głównym jest p. Secretan, który rozpoczął swą karierę, jako agent giełdowy Rotszyldów, majątku zaś dorobił się na dostarczaniu armii niezdanych do użytku gilz do patronów. Dzięki tej „patrijotycznej” (jak się wyrażał) operacji, zajął on wybitne stanowisko w świecie i wierny raz obranej drodze przedsiębrał nowe „patrijotyczne” operacje zawsze z tą samą miedzią.

Postanowił on mianowicie uwolnić francuzki rynek miedziany od przewagi angielskiej. W tym celu skupił pokryjomu kilka tysięcy akcji kopalni miedzi i za pomocą rozmaitych sztuczek giełdowych podniósł ceny miedzi z 40 funtów szterlingów za tonnę do 65. Wraz z podwyższeniem się cen miedzi wzrosła cena akcji. Zyskawszy co około 12 milionów franków na tej operacji, Secretan powziął kolosalny plan skupienia wszystkiej wyrabianej w świecie całym miedzi i zbywania takowej po dowolnej cenie. Interes ten wzięło w swoje ręce Towarzystwo metalowe (Société des metaux), którego był dyrektorem. Jakkolwiek plan nie powiódł się w zupełności, jednakże towarzystwo zakupiło wciągu 3 lat 540,000 tonn miedzi, za którą wypłacić było winno 908,000,000 franków (licząc 67 f. st. za tonnę). Towarzystwo metalowe, posiadające zaledwie 50 mil. franków kapitału, nie mogłoby podołać tak kolosalnym wydatkom. Secretan usunął jednak trudności w sposób prosty, lecz skuteczny. Do administracji towarzystwa metalowego wciągnął na zarząd jednej z najpoważniejszych instytucyj finansowych francuzkich, pozostającej pod kontrolą rządu, a mianowicie t. zw. *Comptoir d'escompte* wraz z dyrektorem p. Denfert-Rochereau. Ten ostatni, jak to często bywa, zupełnie samowładnie rządził powierzonymu instytucyją i zaangażował wszystkie kapitały w ryzykownej operacji Secretana. Nie dość tego, ten ostatni do swego interesu potrafił wciągnąć syndykat finansistów, który powierzył mu 70 milionów franków. W syndykacie owym przyjmowali też udział Rotszyldowie, którzy wycofali się jednak z czasem, rola ich w całej tej sprawie jest nader zagadkową i, niestety, została niewyjaśnioną. Interesy szły na pozór świetnie, ceny miedzi doszły do 90 f. st. za tonnę, akcyjonariusze towarzystwa metalowego otrzymywali grube dywidendy. Świadomi rzeczy zwracali wprawdzie uwagę na ryzykowność operacji i na fikcyjność dywidend, nikt ich jednak słuchać nie chciał. Również bezowocnymi pozostały protesty przemysłowców, zwłaszcza drobnych, których wygórowane ceny miedzi doprowadzały do ruiny. Naprawdę deputowany Laur

podniósł kwestyję w izbie i przypominał rządowi, że operacje Secretana sprzeciwiają się paragrafowi kodeksu, zabraniającego skupowania towarów w celach spekulacyjnych. Niespokojnego mówcę zakrzyzczano i sprawy poszły dalej swoim porządkiem.

Nie długo jednak trwała pomysłość. Ogromne zapasy miedzi gromadziły się w składach towarzystwa, nie znajdując zbytu po tak nadmiernej wyszrubowanej cenie, jednocześnie zaś kopalnie, których nie udało się wciągnąć do zmoży, psuły również interesy bandy. Kapitały wyczerpały się w zupełności, nie było już czem pokryć wydatków bieżących i Denfert-Rochereau odebrał sobie życie. Nastąpił krach, straty obliczono na 158 milionów franków i *Comptoir d'escompte* musiał być zlikwidowany. Secretan nie stracił jednak otuchy i posiadając majątek wartości 200 milionów fr. postanowił prowadzić dalej szlachetne swe rzemiosło, został nawet wybrany na nowo dyrektorem zreformowanego towarzystwa metalowego. Jakkolwiek po krachu nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że Secretan dopuszczał się wszelkiego rodzaju szwindłów, rząd jednakże zdecydował się pociągnąć go do odpowiedzialności dopiero w 10 miesięcy później, po długich naradach i sprzeczkach. Nic to zresztą dziwnego, wszak w rządzie tym rolę „niezbędnego, opatrnościowego człowieka” grał Constans, „były przedsiębiorca oczyszczania kloak, łapownik i złodziej”, jak nazywa go wzmiankowany publicysta Drumont.

*Comptoir d'escompte*, jakieśmy powiedzieli, był jedną z najpoważniejszych instytucyj finansowych, znaną i „szanowaną” w całej Europie, pozostawał przytem pod kontrolą rządu, nie przeszkodziło mu to jednak najhaniebniej w świecie upaść. Jeszcze poważniejszą instytucyją jest Towarzystwo kredytowe ziemskie (*Le crédit foncier de France*). Jest to również towarzystwo akcyjne, korzystające z przywileju wyłącznego i pozostające pod opieką i kontrolą rządu. Suma wypożyczonych przez siebie pieniędzy dochodzi 3 miliardów. Na czele instytucyi stoją gubernator i wicegubernator, mianowani przez rząd. Przed paru tygodniami wicegubernator p. Leveque podał się do dymisji, nie chcąc, jak się wyraził w liście do ministra, patrzeć dalej na zgubną gospodarkę gubernatora p. Christophle'a. Ten ostatni popelnia jakoby wszelkiego rodzaju nadużycia, spekuluje pieniędzmi stowarzyszonych na własną rękę, robi masę niepotrzebnych wydatków, przepłaca prasę i t. d. Wiesz o podaniu się do dymisji zrobiła ogromne wrażenie. W izbie zaszyły burzliwe rozprawy, w których przyjęli udział gubernator i wicegubernator towarzystwa, obaj bowiem, jak na takich potentatów przystało, są przedstawicielami narodu. Żądano śledztwa parlamentarnego, rząd jednak postąpił bardzo rozważnie i zaproponował śledztwo administracyjne, które nie będzie przynajmniej tak rozgłośnem. W trakcie rozpraw posypały się oskarżenia na innych finansistów i na ministrów, których oskarżano również o szwindle giełdziarskie. Niestety, oskarżenia takie nie robią już wrażenia, „minister szwindlarz” jest już we Francji rzeczą zwykłą, nikogo nie dziwiącą.

Mylnem byłoby zresztą mniemanie, że we Francji tylko sfery rządzące są tak zdemoralizowane. Kult złotego cielca jest kultem burżuazyjnym w całym świecie i na ołtarzu tego bożka poświęcają się wszystkie przestarzałe przesady honoru, obowiązku, ojczyzny i t. d. Nie jest żadną tajemnicą, że zmarły król Alfons XII, nie zbyt pewny dłuższego panowania w Hiszpanii, korzystał z rządów dla zrobienia funduszu, który tak rozkosznie możnaby było potem puścić w Paryżu. Powszechnie również znaną jest rzecz, że minister rumuński Brătianu dla tego tylko uniknął odpowiedzialności sądowej, że w szwindlach jego z dobrami narodowymi brał żywy udział sam małżonek poetycznej Carmen Silvy. Błoto rozlewa się szerokimi potokami po całym świecie. W ostatnich numerach gazet spotykamy np. sprawozdanie z procesu, jaki odbywał się niedawno w Sztokholmie i podczas którego okazało się, że dr. Kazimierz Loevenhaupt, dyrektor szwedzkiego banku narodowego, gotów był popelnić krzywoprzysięstwo dla zdobycia skromnej nawet stosunkowo sumy 18,000 kron. We Francji mieszczaństwo nie jest krępowane przez nikogo, używa też śmieiej, a z drugiej

strony, dzięki tej samej wolności, wszelkiego rodzaju szwindle i oszustwa prędzej się ujawniają. Burżuazyja nie potrzebuje się tu obawiać jawności, zdemoralizowała już ona opinię publiczną i wie że cynicznie przyznawać się może do czynów, starannie dotąd gdzieindziej ukrywanych.

J. H. Siemieniecki.

## Korespondencja „Głosu”.

Lwów.

Mimo tendencyjnych prorocत्व *Dziennika Polskiego*, zapowiadających na maj rozruchy robotnicze i, naturalnie, niebezpieczeństwo dla społecznego porządku, któremu absolutnie nie nie groziło, święto 1 maja przeszło u nas zupełnie spokojnie: robotnicy okazali wiele taktu politycznego; to też zgromadzenie robotnicze w podwórzcu ratuszowym we Lwowie należy niezaprzeczenie do nielicznego szeregu dodatnich objawów społecznego życia naszej galicyjskiej krainy.

Ledwie odetchnęła opinia publiczna po 1-m maja, przyszła na porządek nowa, niemniej ważna sprawa, mianowicie umorzenie tak zwanego długu indemnizacyjnego.

Powinności poddańcze w Galicyi zniesione zostały patentem cesarskim z dnia 17 kwietnia 1848 r., przy czem rząd przyrzekł wynagrodzić właścicieli dóbr ze skarbu państwa. W tym samym roku—tylko kilka miesięcy później—zostało poddaństwo zniesione także w innych krajach koronnych Przedlitawii i to pod takimi samymi jak w Galicyi warunkami. Kapitał spłaty dla właścicieli dóbr—czyli tak zwany fundusz indemnizacyjny rozdzielono w Galicyi w formie podatku indemnizacyjnego na cały kraj, tj. na wszystkich opodatkowanych, podczas gdy w innych prowincjach Przedlitawskich połowę tego długu spłacali tylko chłopi — reszta zaś opodatkowanych tylko na drugą połowę się składała. Dla szlachty galicyjskiej kapitał spłaty obliczono na 79,000,000 zlr., podatki naturalnie na ten cel skrupulatnie ściągano, ale pieniądze te szły na cele ogólnopństwowe, szlachta zaś galicyjska musiała się tem zadowolnić, że doliczano jej procenta do pierwotnego kapitału, wskutek czego kapitał ten wzrósł do sumy 79,000,000 zlr. w. a.

Nareszcie trzeba było pomyśleć nad tą spłatą na seryjo, zaczęły się targi i układy między rządem a autonomiją krajową, wreszcie r. 1857 rząd rozdzielił spłatę na dwie części, mianowicie kraj miał spłacać rocznie 3,021,374 zlr. w. a., skarb państwa zaś tylko 2,500,000. Naturalnie pieniądze na tę spłatę miały swe źródło znowu w podatkach, z tą niekorzystną dla Galicyi zmianą, że podatek indemnizacyjny dla kraju wzrósł, powtóre—inne kraje koronne nie mogły zrozumieć, z kąd one dochodzą do tego, ażeby dla szlachty galicyjskiej płacić rocznie 2,500,000 zlr. w. a. Tak przedstawiała się rzecz na zewnątrz, w praktyce pieniądze szły znowu na rozmaite cele—to też nie słusznie upomniała się lewica parlamentarna o zwrot t. zw. „długu indemnizacyjnego” od Galicyi. Dług ten, według obliczenia, miał wzrosć w terminie spłaty, tj. w r. 1898, do poważnej sumy 105,000,000 zlr. w. a.

Obecnie parlament wiedeński za inicjatywą Koła polskiego „odpisał” dług ten Galicyi, a raczej uczynił tylko zadość słusznym wymaganiom naszego kraju. Tyle zdziałało Koło polskie w interesie wszystkich opodatkowanych, bo naturalnie owe 105 milionów musiałby znowu płacić cały kraj, nie zapomniała jednak szlachta, składająca większość Koła o sobie specjalnie, bo podatek indemnizacyjny ma istnieć jeszcze kilka lat, jako podatek krajowy; jest więc nadzieja, że szlachta nasza coś jeszcze na tem osobno zarobi, bo ona przecież stanowi większość sejmową w Galicyi i znajdzie w swoim czasie zapewne sposób do „poratowania się” z funduszu indemnizacyjnego—krajowego, chybaby się coś popsulo w królestwie duńskim, a to możliwe.

„Nędza Galicyi” wywarła wpływ na nasze społeczeństwo i obecnie coraz więcej gromadzi się faktów, które zapowiadają wzrost liberalizmu w Galicyi.

We Lwowie licniejsze grono ludzi, między





ki z urzędnikiem misji ruskiej w Bukareszcie i podtrzymał je aż do chwil ostatnich, a nawet usiłował parokrotnie dokonać zamachu.

W Bilbao (w Biskaj) rozruchy robotnicze przybierają coraz groźniejsze rozmiary skutkiem połączenia się strajkujących robotników z anarchistami. Kilkakrotnie dochodziło do krwawych starć między żandarmeryją a ludem. Na miejsce wypadków wysłano 2 brygady wojska pod dowództwem gen. Lomy. Stan oblężenia ma być wprowadzony w Barcelonie i Biskaj. Patrole wojskowe obiegają wciąż całą okolicę.

W Jolimont w Belgii odbył się międzynarodowy zjazd górników, złożony z 34-ch delegatów, reprezentujących 340,000 robotników. Delegat angielski Burns wykazywał potrzebę umiarkowania w środkach i roztropności w urządzaniu bezrobocia.

## KRONIKA POWSZECHNA.

— **Ministryjum oświaty** wysłało prof. Kowalewskiego za granicę dla zbadania organizacji szkół elementarnych w Europie zachodniej. P. Kowalewski ma również zbadać organizację istniejących przy szkołach francuskich bibliotek i kas oszczędności.

— **W szpitalach miejskich** przez styczeń, luty i marzec leczyło się 585 osób chorych na choroby zakaźne. Z tych 87% dorosłych 18,3% dzieci, mężczyzn 270, kobiet 208, chłopców 60, dziewcząt 47. W liczbie tych chorych suchoty nie są uwzględnieni.

— **Komitet konkursu „Echa muzycznego”** na sztukę ludową po odczytaniu 20 nadesłanych utworów przyznał nagrodę 300 rs. sztuce w 4 aktach ze śpiewami i tańcami p. t. „Najnowsi.” Autorem sztuki okazał się p. J. R. Galasiewicz.

— **Instytut weterynaryjny** ma być otwarty w Symberyi.

— **Militaryzm w Europie.** Angielskie ministryjum wojny, zażądało w budżecie na rok 1890/91 na armię 350 mil. marek, o 7 milj. więcej niż w roku zeszłym, zaś na marynarkę 260 milj., czyli o 2 przeszło milj. więcej. — Na utrzymanie armii krajowej ministryjum belgijskie żąda 46,834,732 fr. Dalej na obwarowanie Antwerpii 2,260,000 fran., na warownie w dolinie rzeki Menzy 12,000,000 i t. d.

— **Składki na pomnik dla W. Hugo** napływają bardzo leniwie. Dotąd, czyli po 5 latach od śmierci poety, bogata Francja zdołała zebrać zaledwie 110,000 fr. Kosztorys zaś pomnika obliczonym został na 2,000,000 fr.

— **Petersburskie kolonije letnie** w 1889 roku wysłały na wieś 136 dzieci (98 chłopców i 43 dziewcząt).

— **Przy niektórych szkołach** początkowych bezpłatnych będą otwierane specjalne kursy gospodarstwa wiejskiego dla nauczycieli ludowych i dla kończących seminaryja nauczycielskie. Kursa te mają być otwarte tytułem próby na 3 lata.

— **Szkoły.** Według wykazów statystycznych w r. b. szkolnym zakłady naukowe warszawskie liczyły uczącej się młodzieży: uniwersytet warszawski — 1,190 st., instytut maryjski — 224 uczeń, 7 gimn. i 2 progim. męz. — 2,753 ucz., szkoła realna 646 ucz., 4 gim. i prog. 2-ńskie — 1,831; szkoła miejska 3-klas. — 201 ucz., szkoła rzeźmiost im. Konarskiego — 214 ucz., seminaryjum naucz. — 68., 21 szkół początkow. męzkich 1,298 uczniów., 16 szkół pocz. żeńskich — 772 uczeń., 1 szkoła mieszana 11 uczniów i 14 uczeń., 35 szkół prywatnych męzkich 2,766 uczniów, 37 szkół i pensyj prywat. żeńsk. 3,765 uczennic, 14 ochron mieszanych 795 uczniów, 485 uczennic. Specjalne zakłady naukowe: instytut weterynaryjny — 98 stud. szkoła rysunkowa — 208, 2 szkoły techniczo kolejowe — 486, instytut głuchoniem. i ociemniałych — 141 uczn. 29 szkół niedzielno-rzemieślniczych — 2,206 ucz., 10 szkół żydowskich 323 uczeni i 282 uczeń., 19 szkół żyd. pryw. — 256 uczeni i 516 uczennic, 303 chedery — 9,735 uczeni i 385 uczennic. Ogółem więc we wszystkich zakładach naukowych warszawskich w r. szkolnym 1889/90 kształciło się 23,609 uczniów i 8,348 uczennic czyli razem 31,957 uczącej się młodzieży.

— **Ostrzeżenie.** Dziennik *Moskowskija wiadomości* otrzymał pierwsze ostrzeżenie za nieumierne zuchwał wyrażenia o osobie urzędowej, postawionej przez zaufanie najwyższej władzy na czele zarządu Finlandyi.

— **Wypasanie.** Rada państwa przystąpi niebawem do obrad nad środkami przeciw wypasaniu. Winni mają podlegać na pierwszy raz aresztowi do miesiąca i karze pieniężnej w stosunku dwa razy wziętej szkody, a na drugi raz karze więzienia do 3 miesięcy i zapłacenia szkody w trójnasób. Do pilnowania pól mają być ustanowieni od d. 1 maja do d. 1 października stróże przysięgli.

— **Departament medyczny** podniósł kwestyje urządzenia obowiązkowej nauki teoretycznej przedmiotów farmaceutycznych w samych aptekach, pod kierownictwem i odpowiedzialnością zarządzających aptekami. Przy rocznych rewizjach aptek dokonywałyby się i egzaminy.

— **Aptekarki.** Pozwolono przyjmować czasowo uczennice przychodnie do aptek nawet tam, gdzie są uczniowie, co dotychczas było wzbronione.

— **Szkoła niedzielna dla służących** założona w Krakowie przez towarzystwo oświaty ludowej cieszy się olbrzymim powodzeniem. Zapal do nauki pomiędzy służącymi jest tak wielki, iż szkoła, pomimo że składa się z trzech klas z których każda ma dwa oddziały — nie może objąć wszystkich zgłaszających się.

— **Bank włościański.** Działalność oddziałów banków włościańskich otwartych w dniu 1 maja r. b. w miastach Warszawie, Łomży, Lublinie i Piotrkowie rozciągnąć się ma: warszawskiego na gubern. warszawską, płocką i radomską; łomżyńskiego na gubern. łomżyńską i suwalską; lubelskiego na gubern. lubelską i siedlecką; piotrkowskiego wreszcie na gubern. piotrkowską, kaliską i kielecką.

— **Żydzi w służbie państwowej.** Ministryjum oświaty zdecydowało, iż na służbę państwową mogą być przyjmowani wyłącznie izraelici posiadający dyplomy naukowe 1-jej klasy.

— **Kolej konna w Warszawie** przewiozła w ciągu ubiegłego miesiąca 1,206,878 pasażerów; dochód wynosił 67,252 rs. 97 kop.

## Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. *Wyk. w Polanach.* Z przysłanych 10 rs. red. „Wಿಸly do końca roku zapłacono 3 rs. i 7 rs. wniesiono na opłatę „Głosu” od N. R.; na IV kw. pozostaje 25 kop., czyli należy się nam jeszcze do końca roku 2 rs.

P. *Jadw. Kasko w Ludw.* Za wysłany I i II t. Spencera 3 rs. 60 kop., przesyłka 45 k., za I i II kw. „Wಿಸly” zapłacone 3 rs. 50 kop., należy się nam więc 55 k.

P. *Jadw. Sejdel w Międz.* N. 17 wysyłamy powtórnie razem z N. 21; prosimy na przyszłość reklamować na poczcie.

P. *Listowski w Lv.* I zeszyt Spencera wysyłamy.

P. *Al. Grabow. w Dąbr. Górn.* I zeszyt Spencera kosztuje dla prenumeratorów „Głosu” z przesyłką 60 kop. Z otrzymanych 3 rs. zaliczono na II kw. 2 rs. 25 kop. i na III kw. 75 kop.

P. *Nadr. w Obojaniu.* Na serdeczny list pański odpowiadamy listownie.

P. *Zemajtys w Bórowie.* N. 18 wysyłamy powtórnie łącznie z N. 21; na przyszłość prosimy reklamować na poczcie.

*Czyl. polska akad. górn. w Leoben.* Komplet z II kw. zwrócono nam z poczty — widocznie adres niedokładny; proszę podać adres i przysłać 70 k. na dodatkową przesyłkę, oraz zawiadomić, czy otrzymany komplet I kw. i poszczególne N. N.?

P. *Franc. C. w Chark.* Oba kwestyonaryjusze do zbierania danych o oświacie ludowej w tych dniach wyjdą w oddzielnej odbitce.

P. *Węg. w Nieżynie.* Dzieło Guilaine’a nie jest tłumaczone na język polski, wartość informacyjną posiada, chociaż potrzebne panu szczegóły najprędzej znaleźć można, jak już o tem pisaliśmy w liście, w piśmie przez tegoż Guilaine’a wydawanem w Paryżu p. t.: *Revue sud-americaine*.

# OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: Drukarnia A. Pajewskiego  
12 Niccała.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu  
opłaconego z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedya  
Encyklopedya  
Encyklopedya

## E. H.

Humoru  
Humoru  
Humoru

Cena tomu opłaconego z góry 2 rs. Wychodzi mniej więcej w odstępach tygodn.

WINA KRYMSKIE I KAUKAZKIE  
UZNANEJ DOBROCI

począwszy od 30 kop. jako też analizowany jako *prawdziwy wyrób wina* i przez powagi lekarskie zalecany,

## COGNAC

KURACYJNY  
poleca Skład Win  
BRACI KEMPNERÓW  
Długa Nr. 5.  
1/1 but. rs. 1,50, 1/2 but. 80 kop.  
1/4 but. 40 kop.

## NIEZBĘDNE

**Ostrzeżenie.** Ogłoszony oryginalny „Exsiccator” jest wtenczas prawdziwym, jak posiada przez Rząd z wielu Państw Europejskich zatwierdzoną markę fabryczną.

ZATWIERDZONY PRZEZ RZĄD

## EXSICCATOR

OSUSZA WILGOĆ, ZABEZPIECZA OD GNICIA I GRZYBKÓW,  
ZASTĘPUJE FARBY. Broszurki bezpłatnie. — Inż. G. Ritter.

39 Królewska 39  
POSZUKUJĘ AGENTÓW

GWARANCJA 15 LETNIA

PEWNY ŚRODEK

Medal Warszawa 1885. Medal Warszawa 1886. Herb Państwa Austriackiego. Medal Kraków 1887. Dyplom Honorowy Symferopol 1888 i 1000-letnie świadectwo za skuteczność otrzymane. Ważny dodatek do broszurki II wydania z ilustracjami bezpłatnie (franco).

Nakładem redakcyi GŁOSU wyszła w taniem, przeznaczonem dla ludu wydaniu powieść A. Dygasinśkiego p. t. **KUBA GAŚSIOR** (odbitka z drukowanej w piśmie naszym powieści **W chłopskiej rodzinie**). Cena egzemplarza (94 str.) kop. 15. Księgarniom i osobom nabywającym większą ilość egzemplarzy, odstępujemy stosowny rabat.

Wyszła z druku powieść historyczna **MICHAŁA WOŁOWSKIEGO**  
**OSTATNI PIORUN**

trzy tomy  
Cena rs. 3.

Nakładem naszej redakcyi wyszły z druku

## ZASADY SOCYOLOGII

Herberta Spencera

2 duże tomy, cena rs. 4 kop. 80

dla prenumeratorów Głosu rs. 3 kop. 60.

Oddzielnie tom I rrs. 3, (dla prenumeratorów rs. 2 kop. 25); tom II rs. 1 kop. 80, (dla prenumeratorów rs. 1 kop. 35).